



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

## Dziś i przed wiekami.

Umysłowość ludzka zrobiła postęp ogromny od czasów, kiedy słońcu kazano obracać się naokoło ziemi, a obrót planet tłumaczono poruszaniem się sfer, które wyobraźnia usiłowała ratować tonący w bezmiarach nieświadomości rozum. Drogi przebieżone przez myśl ludzką do prawdy są tak wspaniałe, tak podbijające umysł dzisiejszy, że nie było i niema takiego pesymisty - sceptyka, wątpiącego nawet o tem, że wątpi, któryby nie przyznał, że pomimo dalekości jeszcze celu te drogi, wijące się po przestrzeni wieków i nieraz wikłające ze sobą, w całości swej przecież przedstawiają się jako jeden wielki gościniec ducha, kroczącego ciągle naprzód i zbliżającego się rzeczywiście coraz bardziej do ideału poznania. Najjaśniej ten postępowy ruch jego dostrzegamy w naukach ścisłych, nieoderwanych, mających do czynienia z naturą, żyjącą w przestrzeni i czasie. Tam też istotnie jest on tak wielki, że dziecięcym nawet umysłem najelementarniejsze pojęcia wystarczają do spostrzeżenia ogromnej różnicy pomiędzy wiedzą dzisiejszą a dawniejszą.

Mniejszym już jest postęp w naukach ścisłych oderwanych. Tu rozum ludzki wykazuje swą jedność i jednorodność i względną od samego początku doskonałość. Matematyka nowożytna wznosi się na podstawie rzuconej przez Starożytność i jest tylko dalszym pojęciem jej rozwojem. W filozofii Starożytni poruszyli już prawie te wszystkie zagadnienia, nad których rozwiązaniem męczy się dzisiaj myśl ludzka, a ów nieujęty współczynnik dzisiejszej wiedzy filozoficznej, którym jest nieskończoność, częstokroć wcale w rachubę

niebrana a brużdżąca we wszystkich rozmowaniach, wywracająca wszystkie systemata, dla Starożytności był taksamo wielką niewiadomą świata, jaką jest dziś dla nas. Geniusze w nauce i filozofii śmiało zapędzali się w stronę dzisiejszej wiedzy. Arystoteles rozumowaniem dochodził do kulistości ziemi, Hipparch przeczynał budowę świata z ciał naokoło siebie krążących, Stoicy wierzyli w świata nieskończoność. Pomiedzy geniuszami działającymi siłą własną różnice będą mimo odległości w czasie zawsze mniejsze, niż pomiedzy umysłami działającymi tylko zdobywaniem doświadczeniem, jako narzędziem i rozsądkiem jako siłą.

Najwięcej podobieństwa między umysłowością Starożytnych a swoją własną dostrzega człowiek dzisiejszy w moralności, czyli w tem, co z rzeczy ludzkich jest najbardziej *ludzkim*. Przyczyna tego prosta: sam człowiek, sama natura ludzka, najpowolniej zmienia się przez postęp umysłowy. Pojęcia o złem i dobrem, jeżeli pominiemy szczegóły tkwiące w indywidualnych obyczajach i urzędzeniach społecznych Starożytności, nie zmieniły się prawie wcale. Ideał człowieka sprawiedliwego zostawiony przez Platona nie lęka się porównania z najwznioślejszymi marzeniami idealizmu chrześcijańskiego. Zasady moralności Starożytnych, odczuwanie i pojmowanie cnoty, wyobrażenia o godności ludzkiej, o charakterze, o miłości dobra i prawdy — są prawie takiesame, jak nasze. Największa różnica już różnica wypromienia się z Krzyża Męki na Golgocie. Starożytność nie miała pojęcia *blźniego* ani ograniczonego do jednostki, ani rozszerzonego w *ludzkość*. Jak duszy jej odczucia, tak mowie jej brakło wyrazu.

Z podobieństwa sfer moralnych wysnuwa się podobieństwo pojęć wychowawczych, o ile wychowanie ma być drogą prowadzącą tylko do umoralnienia, do wytworzenia charakteru miłującego prawdę, wyposażonego w stałość, spokój

i miarę, spełniającego dobro dla dobra, zdolnego ostatecznie do cnoty. Zdrowe i silne ciało, a w nim zdrowa i silna dusza: to ideał wychowania antycznego. Był on jakby wielkością stałą, formą, w którą każdą naturę dziecięcą wtłaczano, indywidualności jej wcale nie uwzględniając, albo też bardzo tylko mało. Stroną dydaktyczną wychowania, zwróconą na umysł i wiedzę, w przeciwstawieniu do pedagogicznej, kształcącej serce i wolę — daleko mniej się zajmowali Starożytni niż my dzisiaj. Udzielana wiedza była skromną, niewyrobioną metodycznie; ściśle biorąc była raczej zbiorem podawanych dziecku i młodzieńcowi wiadomości, niż wszczepianą umiejętnością. Pedagog miał przez to więcej czasu na *wychowanie*, gdy go mniej potrzebował na *nauczenie*.

Nie mieli Starożytni naszej psychologii doświadczałnej, ale mieli wiarę w udzielność istoty człowieczej, w wyższość rozumu nad namiętności w potęgę woli rozumowi poślubionej — i wiara ta wystarczała im do rzetelnej a skutecznej pracy nad człowiekiem. Wiarę tę, najdzielniejszą siłą wychowawczą, wspierało jeszcze przeświadczenie o jednorodności istot ludzkich, dziecięcych, o jednakowym ich jakby cząsteczkowym układzie moralnym. Arystoteles wierzy w to, że w młodej istocie ukrywa się już przyszły moralnie piękny, doskonały człowiek, jak posąg ukrywa się w głazie z chwilą w której go rzeźbiarz pomyślał i myślą swoją w głąz wcielił. Cały też trud wychowawczy wielki ten geniusz przyrównywał do wykuvania posągu z kamienia: odpadnie co brzydkie i niekształtne, wyłoni się co piękne.

Inne są dziś zupełnie nasze wyobrażenia, ale dotyczą one tylko metody, systematu: przedmiot i cel wychowania moralnego, pojedyncze pozyce tych sił, zasobów i środków, które istocie wychowywanej dać potrzeba, aby moralnie żyć mogła, i ostateczna też ich summa — pozostała prawie niezmienną. Są oczywiście i tu różnice, a jedną z wybitniejszych stanowi to, że wskutek



układu społeczeństw starożytnych w tych klasach, dla których wogóle istniała pedagogika, nie potrzebowano wychowywać młodzieży do walki o byt i pojęcia tego wcale ani w umysłowość ani w moralność nie wprowadzano; nie rozwijano też zmysłu praktyczności, nie wkładano do przebijania się przez tłum i rozpierania go łokciami, nie uczono tak, jak dziś oszczędności, przezorności materyjalnej dla niej samej, jako dobra niezbędnego w życiu—bo własność najniwoli oparta zapewniała dostatecznie byt materyjalny. Dodać wreszcie potrzeba, że pedagogika starożytna zajmowała się wyłącznie męczyzną. Wychowanie kobiet prowadziły same matki empirycznie, bez teorii, bez wskazówek, bez umiejętnego systematyzowania myśli przewodnich.

Każdy wybitny filozof grecki potrafił o wychowanie. Tak niedawno jeszcze nieodstępny towarzyszył i przewodnik etyczny młodzieży w swoich *Żywotach* wyborny znawca systematów filozoficznych greckich, eklektyk Plutarch już w II w. po Chrystusie w całym szeregu rozpraw o moralności zajmuje się żywo myślami wieków ubiegłych, podaje częstokroć wyjątki z maxym pedagogicznych, odświeża w pamięci współczesnych, nietylko zdania mędrców, ale i przysłowia grecko-rzymskie, ściągające się do wychowania. Żyjąc już na schyłku umysłowości pogańskiej, a sam jeszcze nietknięty nowymi ideami, wobec potomnych występuje on niejako w roli sprawozdawcy z tego stanu pojęć pedagogicznych dawniejszych, które utrzymały się jeszcze do jego czasów. W rozprawie „O wychowaniu dzieci“ znajdujemy poniekąd streszczoną pedagogikę Starożytnych, nietylko teoretyczną, która z papyrusów i pergaminów nigdy nie weszła w życie, ale i rzeczywiście istotnie czynną jako siła kierująca wychowaniem — *mens agitans molem*. Okoliczność powyższa zaleca pracę plutarchowską uwadze każdego czytelnika, w którym ta najgłębsza ludzka sprawa, jaką jest wychowanie człowieka, wzbudza zajęcie szczere, zaostrzające ciekawość i energią i uskrzydlające myśl do dalekich choćby wycieczek w przeszłość — dla przyjemności i nauki.

Celem wychowania jest zaprawienie wychowanka do cnoty, wyrobienie w nim cnotliwego usposobienia. Na cnotę złożyć się muszą trzy rzeczy: natura, nauka i przyzwyczajenie, wprawa. Natura rozpoczyna pracę, nauka ją dalej prowadzi, wprawa utrwała; ze współdziałania wszystkich powstaje cnota. Zdolności wrodzone bez wykształcenia są ślepe, wykształcenie bez zdolności kalekie, wyćwiczenie bez zdolności i nauki — czcze. „Jak w rolnictwie najpierw grunt musi być dobry, potem rolnik znać się musi na jego uprawie, a wreszcie ziarno nie może być zepsutem, tak jest i w wychowaniu: zdolność można przyrównać do gruntu, nauczyciela do rolnika, ziarno do nauki“. W duszy takiego Pythagorasa, Sokratesa, Platona, wszystko to było złączone w jedno i w jedności tej współdziałało ze sobą. Tacy są ulubieńcami bogów, a nie wszyscy ludzie być nimi mogą. Nauka i wprawa w części zastępują to, czego odmówił natura. Niedbalstwo, unicestwienie dobre, nauka wykorzystania zło skłonności. Dla gnuśnego rzecz łatwa jest trudną, dla pilnego trudna łatwą. Pilność — silna, wysilająca się wola, mają wielkie w wychowaniu znaczenie. Charakter potrzebuje dla siebie dłuższego czasu, aby się wytworzył. Każdą cnotę, bez wielkiego zbroczenia, można nazwać skłonnością z przyzwyczajania. Kiedy Lykurg chciał dać Lacedaemończykom naukę podnoszącą ich umysły, wziął dwoje szczeniąt razem urodzonych i wychował każde z nich do czego innego — jedno do półmiska, drugie do pola. Gdy już wyrosły, stanął z nimi przed ludem opodal ustawił dwie misy, a pomiędzy nimi zajęcia i rzekł: „Pokażcie wam dziś jak wielki wpływ na wyrobienie cnoty ma przyzwyczajenie, wychowanie, nauka i sposób życia“. I wypuścił oba psy: jeden dopadł do misy, drugi rzucił się na zajęcia. Podobną moc ma nawyknięcie i w wychowaniu ludzi. Przysłowie greckie mówi: „Jeżeliś zamieszkał z kulawym, sam kuleć się nauczysz“.

Żywiołami cnoty według Plutarcha są: obawa kary i żądza zaszczytu. Wszystko, co jest w cnotcie, między temi dwoma biegunami się porusza.

Są to siły przyrodzone egoizmu. Wychowanie korzystać z nich powinno, ale poprzestawać na nich nie może; musi je uszlachetniać. Cel filozofii: ukazanie szczęścia w cnotcie, musi być i pedagogiki celem. Zpomiedzy wszystkich dóbr ziemskich człowieka jedno jest tylko nieśmiertelnem, boskiem: rozwój ducha. Prowadzić go zaś może tylko rozum, nie rozsądek, który przywiązuje się do rzeczy małych i powszednich i zapomina o wielkich i trwałych, bez których niema cnoty. Rozsądek niechaj słucha rozumu, rozum niechaj kieruje rozsądkiem. Rozumu nie zniszczy los, nie wydrze zawiść, nie pochłonie choroba, nie obezwładni sam nawet wiek. Rozum w starości nawet przechowuje młode siły, a czas, który wszystko niszczy, jego wzbogaca jeszcze doświadczeniem. Na takim rozumie ugruntowane wychowanie urąga zniszczeniom wojny, zmywającej wszystko przed sobą, jak spieniony wezbrany potok. Kiedy Demetriusz Megarę zrównał z ziemią, a mieszkających jej w niewolę zagnał, zapytany przez niego filozof Stilpo, czy nie postradał czego? — odpowiedział spokojnie: „Nie, gdyż to, co mam, nie może być łupem zwycięzcy. — A co takiego? — Starłem się zawsze żyć cnotliwie.“

Uprawa rozumu, rozwinięcie tej siły naczelnej, mającej kierować człowiekiem po drodze życia, w starości zaś jako mądrość służyć innym za przewodnika, jest zadaniem filozofii. Jeden z siedmiu mędrców, Bion, za główny przedmiot nauki w wychowaniu moralnem uważa filozofię. Plutarch tak ją obrazowo wysławia: „Przyjemnie jest zeglując przesuwać się przed wielu miastami; ale pożytecznie osiąść tylko w najlepszym — ten jest filozofia.“ W troskliwości o ciało ludzie wynaleźli dwa kunszta: gymnastykę i medycynę. Na niemoc i cierpienia duszy jedyną sztuką leczniczą jest filozofia. Ona tylko pozwala nam poznać co piękne a co brzydkie moralnie, co sprawiedliwe a co niesprawiedliwe, do czego dążyć a czego unikać mamy. Ona-to uczy nas, jakimi być powinniśmy w stosunku do bogów, do rodziców, starszych, praw, cudzoziemców, przełożonych, przyjaciół, kobiet, dzieci i niewolników. Ona daje nam trwogę wobec bóstwa, cześć dla rodziców, szacunek dla starców, posłuszeństwo dla praw, uległość dla przełożonych, miłość dla przyjaciół... Ona wreszcie darzy nas wyższą nad to wszystko umiejętnością: w szczęściu chroni nas od nadmiernej radości, w nieszczęściu od bezbrzeżnego smutku. Ona nakoniec nakazuje umiarkowanie w użyciu, a powściągliwość w gniewie, — abyśmy nie byli, jak srożące się dzikie zwierzęta.

(Dokończenie nastąpi).

## GARBUSKA.

POWIEŚĆ

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Tunym razem znowu mówił jej:

— Pamiętasz ty, jak ja się dawniej, dzieckiem będąc naśmiewałem z ciebie, z twojej ułomności? Jaki ja byłem głupi wtedy! Gdybyś ty była ładną, kształtną jak Józia, możebyś tak samo poszła w świat jak ona, a ja nie miałbym przy sobie takiego anioła opiekuńczego i trzebaby mi było leżeć w szpitalu, wachać karbole, jodoforny i zamiast twego miłego głosu, słuchać chrapania śpiącej posługaczki szpitalnej. Gdzież ja tam mógł przypuścić, iż ten twój garb taką mi odda przysługę, że ja do niego z wdzięczności ręce składać będę!

I rodzicom mówił nieraz:

— Wy powinniście całować ten garb, jak relikwie, klękać przed nim, jak przed ołtarzem, bo ten garb może ocalił wam dziecko, a was od nędzy. Czemyśmy dziś byli, gdyby nie ona? Dziadami.

Umyslnie roztrząsał im w tak szorstki, brutalny sposób sumienie, widząc nieraz z oburzeniem, że nie dość oceniali poświęcenie córki, nie odpłacali jej takim przywiązaniem, na jakie zasługiwała. Słuchali go w ponurem milczeniu, czując w głębi duszy całą prawdę słów jego. Widzieli oni sami dobrze, że to, na co rachowali, na piękność drugiej córki, stanowisko zięcia, na świetną karierę syna, że to wszystko ich zawiodło, a jedynym ratunkiem dla nich był teraz ten kopaiuszek domowy, ta pogardzana przez nich, odsunięta w kącie garbuska; ale właśnie to gniewało ich i gryzło, że los tak zdradził sobie z nich, że zmuszeni byli przyjmować dobrodziejstwa od tej, którą sobie mało cenili dawniej. Syna drażniła ta niewdzięczność rodziców, ten brak miłości dla córki, która tyle dla nich robiła. Nieraz nagadał im tyle z tego powodu, że zdawało mu się iż przekonał ich i wzruszył, a tymczasem oni niekontenci z tego, że syn ośmiela się dawać im nauki, mruzczyli tylko pod nosem, że to przecież obowiązek dzieci osładzać starość rodziców, że oni wychowywali córkę, to im się należy służyć pomoc od niej, że ostatecznie ta Anielcia znowu nie tak wielkiego nie robi, że im da tą łyżkę strawy i kącie ciepły przy sobie: za to przecież nie będą jej po rękach całować, ani na klęczkach chodzić przed nią, a matka dodawała zwykle do tego z płaczem, że to już ostatnia rzecz dla rodziców być na łasce dzieci, że niejedni rodzice kilkanaścioro dzieci wychować muszą, a dzieciom za trudne się wydaje, gdy im przyjdzie żywić na starość jednego ojca i jedną matkę.

Na takie stereotypowe frazesy, chory nie miał odpowiedzi i widząc, że rodziców nie przemieni dla garbuski, dał pokój i unikał wszelkiej z nimi o tem rozmowy. Unikał i ich samych; najczęściej gdy przyszli do niego, udawał że śpi, żeby sobie poszli, bo go tylko drażnili obecnością swoją. Zamiast przyjść, pogadać, rozweselić, oni siedzieli przy nim strapieni, nieszczęśliwi, kiwając smutnie głowami i narzekając, że ich Pan Bóg tak pokarał ciężko. Matka co chwila dobywała chustki i ocierała łzy, a ojciec wpatrywał się w chorego syna takim wzrokiem, jakby czekał z obawą, rychło wyda ostatnie tchnienie.

To chorego drażniło niesłuchanie i prosił Anielci, ażeby nie puszczała do niego rodziców.

Zastosowała się do jego życzeń, choć ją to naraziło znowu na wyrzuty ze strony rodziców, że już i syna zbuntowała przeciw nim, że odbiera im miłość jego na swoją wyłączną własność, że im już nic nie zostawia, że na starość zostali sami, opuszczeni i inne tym podobne wyrzekania. Znosiła to cierpliwie przez wzgląd na brata; ona tylko i Piotr czuwali nad nim na przemiany. Czasem gdy oboje nie mieli czasu, posyłała mu dzieci dla rozrywki. Ale dzieci nudziły się przy chorym; hałaśliwie zaś ich zabawy, sprawiały mu ból głowy, i sam poprosił Anielci, żeby dzieci uwolniła od przymusowego bawienia go, co i jemu i im nie było na rękę. Wolał już być sam gdy nie mógł mieć Piotra i Anielci koło siebie. A że nudno mu było tak cały dzień leżeć i patrzeć w sufit i trapić się przykreimi myślami, które mu się wtedy tłoczyły do głowy, więc próbował rozzerwać się czytaniem. Książki jakie mu znosili Piotr i Anielka nie bawiły go, na pożyczanie innych z czytelnicy nie miał pieniędzy, a nie chciał mówić o nie Anielci, bo i tak dosyć wydawać musiała na jego lekarstwa i doktorów. Wtedy przypominał sobie o mnie. Zналиśmy się dawniej w szkołach, nim jeszcze przeszedł na technikę, wiedział z gazet, że mieszkam w Krakowie i napisał do mnie miejską pocztą karteczkę, prosząc o pożyczanie jakich książek.

„Tylko nie tych nowszej szkoły — pisał — do których tematów szukają autorowie w prosekto-ryach, szpitalach, kryminałach, robiąc wiwisekcye na chorobliwych, napół zgniłych organizmach, dyabli wiedzą po co i na co, bo widok takich jatek ludzkich, zamiast leczyć, targa tylko nerwy i mnoży waryatów. Przyślij mi coś ta-



kiego, coby mnie zajęło tak, iżbym zapomniał na chwilę, że ten świat jest taki podły, zły, głupi, zgnily, jak go nam przedstawiają dzisiaj — coś, coby mnie choć o kilka cali podniosło nad kałuże błota i powszedniości. Niech to będzie bajka, złudzenie, byleby złudzenie piękne. Tego potrzebuję. Brudu i paskudztwa mam już po uszy — pożadam czego smaczniejszego“.

W końcu był dopisek:

„Jeżeli chcesz zarobić sto dni odpustu i masz tyle wolnego czasu, że możesz go poświęcić dawnemu koledze, a dziś wykwalifikowanemu kandydatowi na nieboszczyka, to odwiedź chorego. Dam ci za to temat do powieści“.

Po przeczytaniu tego listu wybrałem parę weselszych powieści z mojej biblioteczki i poszedłem odszukać Karola, podług adresu wypisanego w liście. Mieszkał na pierwszym piętrze domu, w którym mieścił się skład przyborów kościelnych i pogrzebowych.

Dziwne było spotkanie nasze.

Wierzyć musiałem mu na słowo, że to on był ale ani śladu odszukać w nim nie mogłem tego Karola, którego znałem ze studenckich czasów. I choroba i lata zatarły wszystko szczeru. Witaliśmy się jak obcy; dopiero odgrzebywane powoli w czasie rozmowy wspomnienia szkolne, zbliżały nas nanowo; do siebie i oswajały. Po godzinie byliśmy ze sobą jak za dawnych czasów; Karol się ożywił, rozgadał, rozpytywał się o kolegów swoich, których stracił z oczów.

— Gdybym był między swemi pozostał — mówił z westchnieniem — inaczej może byłoby mi poszło życie i nie kończyłbym go tak nędznie w tak młodym wieku. Ale rodzicom, gdy odziedziczyli majątek, zachciało się wychować mnie na panie: no, i byłem nim, żyłem w kółku złotej miodzieży, bawiłem się, używałem życia bez rachuby i przestawałem je prędko. Nie mogę ich o to winić, bo oni najlepiej chcieli według swego pojęcia, nie powiedziałem im nawet, że próżność ich zlamala moje życie, bo po co mam niepokoić ich sumienie! Złe się już nie naprawi i trzeba powoli konać *in dieser Matratzen-Gruft*, jak mówi Heine, za błędy młodości.

W głosie jego i słowach była cierpkość, rozpacz beznadziejna i żal życia, które nikło powoli, jak strumień wody w rozpalonych piaskach pustyni. Chciałem przerwać mu smutne myśli, skierować uwagę na coś weselszego i zacząłem mówić, jak pięknie mieszka.

Rzeczywiście mieszkanko jego choć nie zbyt kowne, było schludne nadzwyczaj, pościel czyściutka, mebelki zgrabne, firanki białe w oknach i kwiaty w słonecznych blaskach. Jakaś miła, wesoła atmosfera była w tem mieszkaniu chorego. Na stolicku przy łóżku, stały w symetrycznym porządku lekarstwa, różne drobiazgi, jakich tylko mógł potrzebować. Wszędzie widać było troskliwą i staranną rękę, dbałość o wygodę. Gdy mu o tem wspomniałem, rzekł z uniesieniem:

— Ba, ba, to ona tak o wszystkim pamięta, mój anioł opiekuńczy, któremu natura przez złośliwą ironią, zamiast skrzydeł, dała garb potworny. Chciałbym, żebyś ją poznał: przydałaby ci się jako typ do powieści, tylko nie do takiej jakiej dzisiaj piszecie. Wy dzisiaj z waszymi bohaterami obchodzicie się, jak ciekawe dzieci z zabawkami, obskubujecie, szarpiecie, dłubiecie, aby się dowiedzieć, co tam w środku. I co ludziom z tego przyjdzie, gdy się dowiedzą, że tam brudna wata, druty lub pakuły, skoro tę ciekawość trzeba okupić zepsuciem tego, co tak mile bawiło oko i umysł — skoro z pięknych lalek zostają strzępy i trociny tylko?

Delikatne sztukięcie we drzwi przerwało mu te cierpkie uwagi i równocześnie dał się słyszeć dzwiczny, milutki, kobiecy głosik:

— Czy można?

— Proszę cię, Anielciu, wejdz — odpowiedział łagodnie, a oczy jego zajaśniały radością. Widocznie ucieszyło go przyście tej osoby.

Drzwi się uchyliły i wsunęła się do pokoju mała garbuska, która na widok obcego zarumieniła się zażenowana i chciała się cofnąć.

— Chodź, chodź, Anielciu, to mój znajomy, dawny kolega szkolny. Moja siostra — rzekł bio-

rac ją za rękę i patrząc w nią z uwielbieniem i miłością.

Spojrzałem uważniej na tę zachwalaną mi przed chwilą bohaterkę do powieści. Wyglądała ona bardzo niepocześnie, a jednak oczy jej rozumne a zarazem łagodne i ten rumieniec dziewczycy, który oblał jej bladą twarzyczkę w oprawie czarnych, gładko przyczesanych włosów, nadawały jej tyle wdzięku, że była prawie ładną.

Przyszła zapytać się: czy bratczego nie potrzebuje podać mu prosek w opłatku do zażycia, wysypała popiół z popielniczki, poprawiła poduszki i usunęła się dyskretnie z pokoju, nie chcąc nam przeszkadzać.

Karol nie spuszczał z niej oczów, gdy się krzątała po pokoju, patrzył na mnie, jakby mi chciał z oczów wyczytać, jakie wrażenie zrobiła na mnie a gdy wyszła rzekł:

— A co widziałeś? I czybyś przypuścił, że to maleństwo, ta wata kaleka utrzymuje cały dom, nas wszystkich i rodziców i mnie i dzieci po siostrze i jeszcze parę osób. Nikt jej w tem nie pomagał, bo nawet rodzice żalowali na jej edukację, tłómacząc się, że taka garbuska nie będzie tego potrzebować. Sama o własnych siłach, własną pracą z trudem niemałym zdobyła sobie wszystko. Wszystko, co tu widzisz, ten stółek, ta szafka, łóżko, pościel, wszystko, wszystko to za jej ciężko zapracowane pieniądze. Gdyby nie ona, mnie-by przyszło gdzie pod płotem zdychać, bo w szpitalach teraz pono takich nieuleczalnych nie trzymają, a rodzice na starość musiliby chyba iść żebrać. Ot, widzisz, to mi bohaterka, która z niczego tyle dokazała! Jej życie, to cała epopeja. Opowiem ci je kiedy, jak tu zajrzyć jeszcze, może ci się przyda. Będziesz mógł napisać z tego powieść, nie taką co denerwuje i odbiera ochotę do życia, ale wzmacniającą człowieka na duchu i każącą wierzyć, że są jeszcze piękne charaktery, że ludzka natura nie jest znowu taka zła, podła, jak ją szkalują. Powiadają, że w pięknej ciele piękna dusza: kłamstwo! Żeby ja miał tyle setek, ile znałem ładnych ciał kobiecych, z duszą szkaradną lub bez duszy, to moja biedna Anielcia nie potrzebowałaby tak ciężko pracować na nas, bylibyśmy bogaczami. Kto wie, czy i jej piękność nie byłaby zgubiła, jak zgubiła drugą siostrę. Bo trzeba ci wiedzieć, że ona nie była tak ułomną od urodzenia; obie z Józją były to rzadkie okazy piękności.

I tu zaczął mi opowiadać to, co bez wszelkich zmian i upiększeń opisałem od początku w niniejszej powieści. W miarę im więcej mówił, tym bardziej zainteresowanie moje rosło dla sympatycznej garbuski i przychodziłem do Karola co kilka dni, aby się coś nowego o niej dowiedzieć. Kiedy raz wychodziłem od niego, w ciemnej sieni ktoś wziął mnie za rękę i usłyszałem nieśmiało wyszeptane słowa:

— Niech panu Bóg nagrodzi, żeś taki łaskaw na mojego biednego brata. On pana tak lubi, tak się cieszy, nadzieją pańskiego przybycia. Jest nawet daleko zdrowszy teraz, odkąd pan przychodzisz do niego. Niech pan go często odwiedza. Bóg to panu wynagrodzi.

W tej chwili uczułem dotknięcie jej ust na moją rękę. Zawstydzony, cofnąłem rękę i chciałem się tłómaczyć, że nie zaśluzylem wcale na żadne podziękowanie; ale garbuski już nie było w sieni.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Korrespondencya zagraniczna.

Poznań w Sierpniu 1891.

Wśród największej już ciszy letniej miasto nasze niespodziewanie się ożywiło skutkiem przyjazdu Cesarzowej Fryderykowej, która tu uczestniczyła w jubileuszu swego pułku huzarów.

Przybycie jej odświeżyło pamięć ostatnich odwiedzin dostojnej małżonki Fryderyka III. Na wieść o powodzi która załaza Poznań, odbiegła ona na chwilę od łoża dogorywającego już niemal męża, rozłączyła się z nim na kilka godzin, aby nieść pomoc i pociechę ciężko nawiedzanej dzielnicy. Tyle zaś przytem okazała serca i dobroczynnej zabiegliwości, że jej nie możemy zapomnieć ofiary, jaką dla nas uczyniła z jednego dnia, tak już wówczas policzonych dni, nieszczęśliwego Fryderyka. Ze wszechmiar zresztą cesarzowa Fryderykowa wzbudza sympatyą, szacunek i ufność. Wzór małżonki i pani domu, jeszcze nie zajmowała swego wysokiego stanowiska, gdy jaśniała już wszystkimi przymiotami niewieści i nie-raz za przykład stawiana bywała kobietom w skromniejszych stokrć obracającym się warunkach. Opowiadano sobie, jaki ład panuje w domu książęcym, jak kwitnie tam szczęście i życie rodzinne, jak wszystko w ręku dobrej żony i matki spoczywa. Pomnę jak raz opisywano koledze drzewko, i wspaniałe dla wnucząt dary, przysłane z Anglii do Berlina przez królową Wiktoryę. Młoda wówczas następczyni tronu nikomu się nie dała wyręczyć w rozpakowywaniu prezentów; sama pilnie zbierała sznurki obowiązujące każdy z osobną pakieczką, ze ściśle angielską praktycznością, wyhodowaną może przez sławną powieściopisarkę dziecięcą, Miss Edgeworth, która osobne opowiadanie poświęca wykazaniu, jaki użytek zrobić można z niebacznie zwykle porzucanych kawałków szpagatu. Nie zmieniła się dostojna pani pod brzemieniem nieszczęść i zawodów. Owszem, przoduje wszystkim miłosiernym zmysłom, dobroczynnym działom, zajmuje się mądrze losem sług, opiekuje dźwiatwą, a jednocześnie wywiera rosnący wpływ na umysł swego syna, który ma wiele angielskiego pierwiastku w swem usposobieniu.

Świątecznie też przybrał się Poznań na powitanie rzadkiego gościa. Pojedyncze domy ozdobiły się zielonością i kobiercami, całe ulice zabarwiły się jaskrawymi flagami, tłumy wyległy na powitanie. Nie będę tu opisywał szczegółów przyjęcia i przejazdu przez ulice naszego miasta. Zwyczajny był to przebieg okrzyków, przemów, bukietów i prezentacji. Uprzejma i trafna intencja i atencja znalazła się w angielskiem powitanie, wygłoszonem przez młodzieuchną pannę Koszutską. Cesarzowa w różnych kierunkach przejeżdżała miasto, wszędzie równie serdecznie witana. Między innymi skierowano jej drogę obok spiżowej grupy Perseusza, daru jej zdołanego jeden z poznańskich placów i wodotrysków. Szczerze zadowolona z okazanej jej zyczliwości i zapału, na wyjeździe przypomniała okoliczności w jakich tu za pierwszym razem była się znalazła, życząc miastu, aby mu wszelkie ciosy na przyszłość oszczędzone być mogły. Ulewny deszcz zamącił jedynie ów dzień świąteczny, tak jak od wiosny zamącał spokój rolników, bardzo przynębionych przeróżnymi kłeskami, sprowadzanymi przez nieustanną niemal snotę. Wprawdzie zboże, a zwłaszcza żyto, w ostatnich dniach podniosło się do cen niebywałych, ale to nie wyrówna strat poniesionych skutkiem częściowych powodzi i nadmiernej wilgoci: owszem, spotęguje tylko gorączkę gubiącą w tej chwili nasze Księstwo, zarazą spekulacyi giełdowych, która u nas zaplanowała skutkiem niestałych stosunków, i anormalnej chęci szybkich zysków. Zbyt naiwni obywatele, mniemając iż potrafią odgadnąć naprzód tajemnice politycznych odmian i tętna giełdy, puszczają się zbyt często na niebezpieczną grę, która już krocie pochłonięła i niejedną sprowadziła ruinę. Dawno podnoszą się głosy przestrogi i upomnienia. Szaleńców wstrzymać niepodobna na pochyłości, z której staczają się w przepaść, gdzie nietylko ginie ich majątek cały, lecz niestety, zbyt często i dobre imię i uczciwość. Nie darmo w starożytnym Rzymie zabraniano senatorom uczestniczenia w podejrzanym interesach i spekulacyach.



## NOWINY PARYŻKIE.

Pomnikomania. — Lafontaine i Danton. — Legendy o wielkich ludziach. — „Dii minores“. — Każdy ma swego świętego. — Pomnik dla Wiktora Hugo w Panteonie. — Brak prostoty. — Salon na Polu Marsowem. — Artyści Polscy. — Zamknięcie. — Bilans. — Katastrofa w S-t Mandé. — Okropne szczegóły. — Liczba ofiar wypadku. — Pani de Chambrun, — jej śmierć, — szczegóły jej oryginalnej postaci. — Sławne przyjęcia muzyczne w jej pałacu. — Nowe szkoły literackie we Francji. — „Dekadenci“. — „Independenci“ — ich przeglądy i pisma.

W Sierpniu 1891 r.

(Dokończenie).

D. 27 Lipca umarła w swoim wspaniałym pałacu przy ulicy de Monsieur jedna z oryginalnych postaci paryżkich: Hrabina de Chambrun. Małego wzrostu, szczupła, wysmukła, o rysach ostrych twarzy zawsze rumianej, a jasnych blond włosach, pomimo wiek późny — miała lat 65 — w strojach dziwnie excentrycznych, mieszanina starożytnych greckich, z nowożytnymi, dźwigająca na sobie ciężkie, drogocne klejnoty — odznaczała się szczególnie ogromnymi kapelusznymi à la Gainsborough, przystrajaniem w świeże kwiaty i koronki.

Przyjęcia jej, urządzone z przepychem i w stylu uroczystym, były bardzo głośnie i wzięte w wyższym towarzystwie, szczególnie z powodu doskonałych koncertów, wykonywanych przez najlepszych artystów. Słuchano tam w dniu wielkopostne poważnej muzyki religijnej starych mistrzów, w kaplicy pałacowej w stylu gotyckim i wśród mroku, dla podniesienia efektu.

Pani de Chambrun była wnauczką znakomitego przemysłowca Godard - Desmaret, założyciela sławnej fabryki kryształów, znaney pod nazwiskiem „Bacarat“, której doskonale i piękne wyroby rozchodzą się na świat cały. Była ona jedynaczką i jedyną właścicielką tego zakładu, który stanowi prawdziwie książęcą fortunę o ogromnych dochodach.

Zmarła była poetką — a szczególnie odznaczała się znakomitą talentem muzycznym. Na tych przyjęciach, o których mówiłem, można było spotkać najznakomitsze osobistości artystyczne i literackie. Widziałem tam nieraz: Gounoda, Ambroise Thomas'a, Deslibes'a, Calonne'a, Sully-Prudhomme'a, Franciszka Coppée'go, i t. d., obok światowców wibitnych, członków ciała dyplomatycznego — szczególnie członków nuncjatury. Słuchano doskonałej muzyki i odczytów, jedynej rozrywki gospodarza domu, ociemniałego od lat kilku i mającego lektorów wszystkich narodowości.

Te koncerty religijne, o których wspominałem wyżej, zasługują na szczególną wzmiankę. Dawano je każdego Czwartku w kaplicy pałacowej, jak mówiłem, a państwo de Chambrun wydawali ogromne summy, aby zgromadzić każdego tygodnia co było najznakomitszych artystów. Nilson, Melba, Von Zandt, Kraus, Conneau — panowie: Faure, Lassalle, Talazac, Vergnet, Auguez, pod dyrekcją Calonne'a występowali tam jako soliści — co znaczy tyle, jakbym powiedział, że wykonanie było absolutnie doskonałe. W programat wchodziły zwykle nieśmiertelne dzieła Bacha, Händla i Wagnera, do których dodawano czasem utwory nowszych kompozytorów. Na murach i na tytułach programatu można było czytać wypisane wielkimi literami następujące surowe ostrzeżenie: „Nie należy ani klaskać, ani rozmawiać w kaplicy świętej“. Nie mam potrzeby dodawać, że co do rozmowy, ma się rozumieć cichej — ostrzeżenie nie było zawsze szanowane.

Około godziny czwartej, kiedy muzyka była skończona, przechodzono do salonów wspaniałych, zawalonych kryształami wielkich rozmia-  
rów i wielkiej wartości. Były to wyroby wła-

snej fabryki pani domu. W tych salonach podawany był podwieczerek. Wtenczas-to stopniowo, zaproszeni goście składali uszanowanie obojgu gospodarstwu — i wtenczas dopiero rozwiązywano im usta — a pani domu w dziwnym swym stroju, przechodząc wówczas od kółka do kółka zaproszonych, swoim głosem powolnym i trochę przygłuszonym brała udział w rozmowie z cicha i jakby przez sen. Pamiętam, jak razu jednego, gdy rozmawiał z Gounodem o Szopenie — nagle odezwała się, jakby przebudzona: „Ależ w WPanu nie znać wcale Polaka!“ — i nie czekając na protestacyę, pomknęła dalej poważnym krokiem.

Rozmówiona w muzyce, miała ona swoją wspaniałą lożę w wielkiej operze, pomiędzy kolumnami, którą odziedziczyła po śmierci margrabiego de Casariera. Tu zwykle obok niej ukazywały się panie rzadkiej piękności.

Większą część zimowych miesięcy spędzała nieboszczka w Nicei, gdzie posiadała jedną z najwspanialszych willi. Była uczynną i dobroczynną — przychodziło jej to z łatwością przy wielkiej fortunie.

Rzadkie są niespodzianki i gratki w naszym dziennikarskim zawodzie, to też jeśli się jaka zdarzy, należy ją w lot chwycić. Siedziałem przy stoliku i rozmyślałem nad pustkami tej wielkiej Babilonii szykując się wykroić kawał mej kroniki, tej kanwy, której ogromne kratki stały puste, bezbarwne; grube ryby prześlizgnęły się, i gdzieś utonęły na wybrzeżach morskich, lub w innych sadzawkach *highlife'u*. W tem ktoś szarpnął dzwonek u wejścia, zbudziłem się z zadumy, pobiegłem śpiesznie do drzwi, i stanąłem jak wryty.

Nieznajoma, młoda kobieta bardzo przyzwoicie ubrana, uśmiechnęła się do mnie: — Pan X. Y. Z? Skłoniłem się nisko, trzymając się drzwi. — Tak pani, jestem do usług X. Y. Z. — Czy mogę słów kilka pomówić? — I owszem proszę, niech pani raczy wejść — ustąpiłem na bok i otworzyłem drzwi szeroko. — Przynę panie fotelik, proszę niech pani raczy usiąść, czem mogę służyć pani? — Wszak prawda, pisujesz pan do dzienników? — Przepraszam jeśli i pisuję, to w liczbie pojedynczej... — Al. — mówiono mi, że do wielu, ale mniejsza o to! i jeden może wystarczyć. Czy nie mógł by mnie pan zarekomendować, chciałabym użytkować zdolność, jaką mi przyznają moi znajomi i nasi wspólni znajomi: A. B. C. i t. d.

— Zmiluj się pani i nie rzucaj się tak rozpacznie do wody, w której łatwo się utopić. Ażebym zarekomendować kogo, potrzeba mieć inne wpływy, i inne stanowisko. Sam jestem jak pies na płocie — przepraszam za to wyrażenie — ale odpowiada ono zupełnie temu, jak się rzeczy mają. Nie może więc być mowy o jakiej rekomendacji mogącej do czegoś pewnego doprowadzić. A nadto jeszcze, dotąd nie wiem nawet, jakie jest nazwisko szanownej pani i jakie są dokumenta, do wody jej zdolności i sposobu pisania.

— Nazywam się D. jestem z tej a tej prowincyi — widziałem przytem, że się brew zmarszczyła — proszę — tu dobyła z woreczka niewielki zwitek blade-błękitnego papieru i, kładąc go na stole przedemną dodała: — Z tego łatwo pan zrozumiesz czy warta jestem rekomendacji; artykuł to literacki, ale właśnie na czasie, teraz nie zabieram panu czasu, mój adres jest na końcu.

Pozegnaliśmy się i myślałem, że wszystko skończone. Otóż nie: artykułik dobrze napisany, nie długi i nie krótki za darmo, w samą miarę. Pobiegłem nazajutrz do skromnej izdebki, na bulwarze jak go nazywają studenci, *Bulmisz*, to jest przez skrócenie Bulwar Saint-Michel, i złożywszy uszanowanie ślicznie, powiedziałem: Winszuję pani. Rekomendować nie mogę, ale jeśli się pani zgodzisz na to, zamknę to w mojej kronice i powiem jak i co się stało. Spróbujemy szczęścia. — Zgoda powiedziała, podając mi swą rączkę, i oto macie tego akordu dowód!..

Nazywa się to: *Przegląd nowych przeglądów we Francji*.

Jesteśmy w pełni jakiegoś przewrotu. Tak dobrze w naukach, jak w sztuce i literaturze, ten przewrót jest widoczny, dotykalny, a jeśli go i określić niepodobna dziś jeszcze, można przeciw pokazać wyraźnie jego symptomata. Jest to

moralna *Influenza*. Nigdzie się jej symptomata nie pokazały wyraźniej, niż w młodych przeglądach, których efemerycznie istnienie odbija w sobie, to poszukiwanie nowego życia, za którym gonią młodzi i którego zdobyć nie potrafi dotąd.

Za niezbyt wygórowaną cenę, dwustu do trzystu franków, można tu urządzić wydanie na pięknym papierze i czystym drukiem od 1.000 do 1.500 egzemplarzy, literackiego przeglądu. Wskutek tego niezmierny nawał tych publikacji wszelkiego formatu i barwy.

Co miesiąc rodzi się nowe dziecię tej literackiej płodności, i co miesiąc znika ze sceny, jedna okładka wypycha drugą. W ciągu jednej wiosny cała gamma kolorów papieru przechodzi, jak w kalejdoskopie.

Niema dziś prawie takiego pisarza, któryby przy swem wystąpieniu na scenę świata literackiego nie był głównym redaktorem, dyrektorem, albo przynajmniej sekretarzem redakcyi jednego z tych efemerycznych przeglądów. Któż opisać potrafi tę uciechę obstalowania kart wizytowych dobrze, przed ukazaniem się pierwszego numeru takiej publikacyi? Jest tu więc niemało takich ciekawskich, którzy zbierają chętnie te peryodyczne wydawnictwa. Po kilku latach doświadcza się pewnego rodzaju dziwnego wrażenia, wertując te nikłe błyskotki, śledząc w nich najdziwniejsze przeobrażenia, jednego z tych, co się dobili sławy *qui sont arrivés*, jak mówią Francuzi, albo znajdując w nich pierwsze i często jedyne odbłyśki dowcipu tych, którzy później spoważniali w mierności, lub pierwsze wyznania wiary, młodzieńskich mistrzów, których późniejsze powodzenie wdrożyło w mniej rewolucyjne teorie.

W tej chwili jeden z tych zbiorów za którym gonią szperacze, sprzedaje się z ogromnym zyskiem — *fait prime*. Jest to cztery czy pięć pierwszych numerów przeglądu pod tytułem: „*Taches d'encre*“ — jak mówią u nas o tych plamach atramentu, „zrobić żyda!“ Te pierwsze numera były pod redakcyą p. Maurycego Barres'a. Rzeczywiście był on sam tylko w tej redakcyi, ale to co wystarczało za całe sztaby, przyszyły bulanżysta, sprawiał tę służbę z talentem, dowcipem i oryginalnością. Młody pisarz rzucił w obieg tych swoich „żydów“ z niesłychaną zręcznością, i przyniosły mu one te plamki oczekiwany owoc. Dobrze pierwej przed narodzeniem bulanżerówki Barres okazał się w nich twórcą reklamy, w której idąc na wypródkę, owiele prześcignął sławnego aptekarza Géraudela. Są ludzie, którzy pamiętają dobrze tak zwanych: *Hommes Sandwich*, spotykanych od bulwaru Saint Michel, aż do kawiarni Tortoni'ego nazajutrz po zabicu agenta Morin'a przez panią Clovis-Hugues; a na ich tarczach olbrzymich czytano:

*Morin*

*nie będzie więcej czytał  
Plam Atramentowych!*

Zręcznie osiągnąwszy zamierzony efekt, p. Barres niemniej zręcznie zwinął chorągiewkę i opuścił swój przegląd, a nieznajdując pod ręką żadnych nowych cymbałów, gotów już był drapnąć choćby do Tonkinu. Na szczęście, w chwili, gdy miał już podnieść nieśmiertelną nogę, zwąchał tłustą pieczeń na bruku paryżkim — i jak wiadomo, odegrał hałaśliwą rolę w bulanżerówce, co otworzyło mu drogę do fotelu poselskiego w Palais Bourbon.

Po „Plamach z atramentu“ ludzie bawiący się w kolekcye poszukują teraz przeglądów „Dekadentów“ i „Symbolistów“ — z których najlepiej znane były przeglądy: *La Vogue* i *Le Décadent*. Dwaj ich redaktorowie, p. p. Anatol Baju i Gustaw Kuhn — okrutnie polemizowali we dwójkę.

W tym samym czasie ukazały się — albo raczej zabłysły nanowo, aby napowrót zagasnąć: „Lutecya“ S. Trevenicka, „Grymasy“ Oktawiana Mirbeau, *Le Trublot* Pawła Alexis'a, *La Revue Contemporaine*, Roda i Reinacha i wiele innych tygodników, których dążności i teoryi można nie lubić i nieprzyjmować, jako zbyt krańcowych, ale z których widać przecież młodość i zamiłowanie



zawodu. Wielkie dzienniki i bogate przeglądy, przysięgli krytycy — ani wspomnieli o nich, ma się rozumieć, nigdy; ale potem powoli zrekrutowały wśród nich swoich współpracowników — jak to uczynią jutro z dzisiejszymi przeglądami.

Po śmierci dekadentyzmu i po smutnym stanie zdrowia symbolizmu, dzisiejsze młode przeglądy, są może mniej liczne, niż były cztery lub pięć lat temu, ale za to, zdaje się, redagowane z większą starannością.

W pierwszym ich rzędzie wymienić należy: *Le Mercure de France*. Redakcja tego przeglądu składa się z młodych ludzi sumiennych, światłych i przeświadczonych o ważności podjętej misji. Nie ubiegają się oni o reklamę — i nie chyla się niewolniczo przed rutyną szkoły. Postanowieniem ich jest ogłaszanie dzieł i artykułów, których zbyt śmiałe pomysły i nowość formy będą powodem do wykluczenia z innych przeglądów i dzienników. Na ich to łamach niedawno temu ukazał się ów śmiały artykuł p. de Gourmont'a, który narobił tyle hałasu i tak mocno oburzył Déroutelów i odwetowiczów (revanchards).

W *Mercure* za dużo może jest wierszy!.. Wiersze w dziełach inteligencji tegoczesnej skazane są, zdaje się, na zajęcie miejsca arf, trójkąta, albo chińskiego kapelusza w orkiestrze, gdzie giętka i muzyczna proza francuzka odzywa się głosem skrzypiec, bassetli, fletrowców lub fagotów, a nawet waltorni. Ale te ich wiersze mają zaletę obudzania ciekawości z powodu próbek i usiłowań oryginalności przypominającej *articles de nouveauté*.

P. P. Ernest Raynaud, Albert Aurier, Quillard, Valette, i t. d. od dwóch lat przeszło służą temu „Merkuremu“ z całą werwą talentów pełnych nadziei na przyszłość. Laurenty Tailhade, najstarszy z nich, co do rozgłosu nazwiska przynajmniej, umieszcza w tym przeglądzie artykuły odurzającej fantazyi. Tam-to odznaczył się również Juliusz Renard, humorysta i oryginał, w swoich *sourires pincés* zapowiadając z czasem mistrzostwo w powieści.

Młodszym od tego przegląd jest inny, zatytułowany: *Les Entretiens politiques et littéraires* — radykalniejszy od poprzedniego, nakazujący, prawie zawsze cierpki, często wyzywający, przegląd ten, okazuje się *symbolistą* pod piórem p. Viellé Griffina, bulanzystą zaś z p. Pawłem Adamem. Jednakże, chociaż zbyt może jeżący się, uszczypliwy — nie jest on przecież pozbawiony pewnej wagi i wzbudza zajęcie w rzeszy czytelników. Lubi-bo ona grać na wszystkich klawiszach umysłowości ludzkiej, gdy idzie o literaturę lekką a nadobną, nadobną a lekką.

Dyrektor tych „Pogadanek“ p. Bernard Lazare, pomimo całej swej nietolerancji, jest krytykiem cenionym i utalentowanym. Mniej nakoniec od „Merkurego“ zamknięte w sobie i w mrzonce literacko-artystycznej, *Les Entretiens*, nie lekają się dotykać tej kwestyi socjalnej, w której się zbiegają i jednoczą usiłowania wszystkich wyższych umysłów naszego czasu.

„Sztuka i krytyka“ (*art et critique*) p. Jana Jullien'a, przestała wychodzić, a przeciwnicy jej nawet żałują tego zaćmienia z powodu jej tak dzielnej polemiki i talentu, którym szafowano, nie licząc się wcale z istotną potrzebą.

Mamy następnie: *La Revue Indépendante* i *La Plume*.

Pierwszy z tych przeglądów, założony w 1884 przez p. Felixa Fénéon'a — miał za cel wtajemniczać czytającą publiczność w misterya *impressyonizmu*. Następnie pod dyrekcją p. Edwarda Dujardin'a, wykoleił się ten przegląd na śmieszne i pretensjonalne rozłogi dekadentyzmu, posuniętego już do ostateczności. Na szczęście, zachował uczucie tolerancji, gdyż pomiędzy jego współpracownikami od czasu do czasu znajdujemy nazwiska: Emila Hennequin'a, znakomitego krytyka, zmarłego, niestety! w zaraniu trwałej, poza grób już sięgającej sławy; znajdujemy tego biednego Lombarda, zmarłego również niedawno w wigilią ostatecznego powodzenia. Wydawcy statystycznych egzemplarzy jego pism powinni-by pamiętać, że pozostała żona i dzieci są dziś bez chleba. Znajdujemy dalek Henryka Céarda, Pawła Verlaine'a, Mété-

nier'a, I. H. Rosny'ego, Pawła Bourget'a, L. Descares'a, Edwarda Rod'a, Jana Ajalbert'a, Pawła Hervieu'go, p. Mirbeau, G. Geoffroy'a, który umieścił w nim właśnie swój nowy szkic, śliczną nowellę: *La Voie*. Dodać do tych nazwisk potrzeba jeszcze I. K. Huysmans'a, który w *Revue Indépendante* właśnie ogłosił swoje piękne studia o sztuce; wybornego Despréz'a, zmarłego również, Kamilla de Sainte-Croix, Henryka Fèvre'a — i tylu innych, którzy następnie utorowali sobie drogę i zyskali imię. Było tam nawet coś i p. Zoli i Goncourt'ów, nie wydanego nigdzie przedtem. Dziś pod redakcją p. de Nion przegląd dał się wyprzedzić innym, tak, że nie słysząc nic o nim od czasu ostatniego artykułu Maurycyego Barrèsa, pod tytułem: „Młodzież francuzka i Boulanger“.

Daleko młodszy przegląd *La Plume* jest mniej surowy i poważny. Można tam spotkać pomiędzy dwoma zawziętymi artykułami katolickiej polemiki p. Bloy nowinki dziennikarskie. Wypuszczają tam akcye, wydają książki i ogłaszają wierszki w rodzaju tych, jakie śpiewały niegdyś zapomniane prowincjonalne muzy. Być może, iż te inseraty interessowane przyniosą coś do kasy i pozwalają przeglądowi przeciągać życie z dnia na dzień.

W Belgii nakoniec, ponieważ tu sprawa toczy się o język i literaturę francuzką, wychodzi kilka przeglądów „młodej literatury“, dobrze redagowanych i ożywiających ruch literacki: *Młoda Belgija* (!) (*La Jeune Belgique*), *L'Ermitage*, *Wallonie*, i t. p.

Czyż to nie dziwna rzecz, że ci najmłodsi, rozpoczynający swój zawód, sami tylko, wraz z weteranami piśmiennictwa, mają swoje przeglądy — a pisarze znani i okryci chwałą nie mają wcale pisma, gdzieby mogli pisywać według swej myśli i woli?.. *Revue des deux Mondes* i *Revue Bleue* nie przyjmują ich, chyba nawróconych i pokutujących — i nie przyjmują wszystkich, bo wielu nie chce wdziwiać fraka, który wisi w szafie redakcyi, albo też go nosi niezgrabnie.

Przecież ci z krainy „Dwóch światów“ wygnani mają swoich czytelników; dali już niejedną próbę swego talentu i noszą już dziś imiona zasłużone, a założenie takiego pisma, jak mówiłem wyżej, nie kosztuje tak drogo. Wydawca albo mecenas, któryby umiał zebrać i wybrać tych pisarzy, znajdujących się w wieku od 30 do 40 lat — w połowie drogi pomiędzy łysiną a grzywą, fundując pismo, gdzie każdy, pod własną odpowiedzialnością, umieszczałby artykuły, których nie może dać w swoim zwykłym dzienniku, czy przeglądzie — taki wydawca, *respectively* mecenas, zrobiłby doskonały interes, a w każdym razie dałby społeczeństwu czytającej książki i półksiążki — rzecz użyteczną.

λ.

## Kronika działalności kobiecej.

— Pod protektorem królowej saskiej Karoli odbędzie się w Lutym przyszłego roku w Lipsku, w Pałacu Kryształowym, międzynarodowa wystawa Krzyża Czerwonego. Opatrywanie ran, higiena, pożywienie klas niezamożnych i nauka gotowania w ogóle — to oddziały, w których zgromadzi się, za usilnem staraniem królowej, wszystko, co jest najracjonalniej dobrem i pożądanem w opatrywaniu rannych i chorych, w pożywieniu wojska i uboższych klas ludowych oraz tych średnich, którym potrzeba oszczędności nie powinna jednak podkopywać organizmu i odbierać sił żywotnych przez nieumiejętne odżywianie się wskutek nieumiejętnej też doboru pokarmów. Cesarz Niemiecki przesłał komitetowi wystawy za pośrednictwem swego marszałka dworu wyrazy „najwyższej sympatii“; rządy państw wszystkich wyraziły się podobnie; ksią-

żę Jerzy Saski przyjął honorowy protektorat wystawy.

— Ustanowiony przez angielski Cobden-club konkurs doroczny na dany temat z ekonomii społecznej przyznał w roku bieżącym nagrodę w summie 60 funtów sterlingów, młodej panie, studującej prawo na uniwersytecie Viktoria w Manchester, Wiktorii Jeans. Temat konkursu był: „Istotne i przypuszczalne skutki prawodawstwa angielskiego dla fabrycznego przemysłu Anglii“.

— W Londynie zmarła niedawno młoda panna, lady Alexandra Leveson Gover, pochodząca z najwyższych sfer arystokracji angielskiej, córka księcia Sutherland, spełniająca ofiarniczo czynność siostry miłosierdzia w szpitalu miejskim. Trudy ponoszone, przy braku odpowiedniego posiłku, bo przyzwyczajona od dziecka do wytwornej kuchni magnackiej, nie mogła znosić pożywienia podawanego jej w szpitalu, spowodowały śmierć z wycieńczenia. Winnym temu wobec opinii publicznej jest jej ojciec, którego postępowanie skłoniło żonę do opuszczenia męża; córka, jak utrzymuje głos opinii, zaprzagnęła po śmierci matki okupić winy ojca poświęceniem się dla biednych i cierpiących. Pełniła obowiązki swoje przez lat trzy.

— W biurze angielskiego ministerium wojny w Londynie zajętych jest kilkanaście kobiet kopistek, spełniających pracę swoją przy pomocy maszynek do pisania, zwanych, od nazwy wynalazcy, maszynkami Remingtona. Oddział kobiet kopistek otrzymał w miejsce naczelnika, naczelniczkę, „lady superintendent“, i wyszło rozporządzenie ministra, aby odtąd te gałęzie pracy zajęte były wyłącznie przez kobiety.

— Miss Karolina Higgins, Szkotka z pochodzenia, licząca lat dwadzieścia, otrzymała przy egzaminie na matrykulację w uniwersytecie londyńskim wszystkie stopnie najwyższe. Piśma angielskie piszą, że stanęła najwyżej spośród 1.600 studentów wymienionego uniwersytetu. Chowała ją od małego dziecka matka wdowa, ucząc ją początkowo sama; następnie mająca lat dziesięć została uczennicą rządowego kolegium dziewcząt, nie już nie kosztując matki, bo jako pierwsza uczennica otrzymywała zawsze wszystkie najwyższe stypendya tak, że pieniądz przez nią w ten sposób pozyskany podpierał utrzymanie domu. Już-to raz druga kobieta stanęła najwyżej na liście egzaminów uniwersytetu londyńskiego na matrykulację. Portret miss Higgins, podany przez czasopisma angielskie, przedstawia ładną, rozumną twarz bardzo miłego dziewczęcia. Włosy są krótko obcięte i, jak u chłopca, z boku rozdzielone, ale szyjkę otacza fryzka koronkowa, spięta broszą w kształcie liry, zpod której wysuwają się końce morowej kokardy.

— Miss Alicya Stockhan, przemawiająca w Londynie na zebraniu, radzącem nad skutkami dopuszczenia kobiety do głosowania na członków parlamentu, zbijała zdanie, jakoby to miało wprowadzić rozstrój w rodziny. Kobieta, zdaniem mówczyni, będzie miała zawsze tesame przekonania, co mężczyzna, wybrany przez uczucie jej serca na towarzysza życia i bardzo rzadko zdarzyć się może wypadek przeciwny. Polityka, jako taka, nie będzie też nigdy wprowadzać rozstroju w rodziny, jeżeli nie panował on tam poprzednio, wypływając ze źródeł innych. Prawo, dopuszczające kobietę do urny wyborczej, ma wagę główną dla tej, która pozostała samotną, i z tego punktu widzenia należy rzecz rozbiierać. Mówczyni zakończyła pytaniem: czy, na przykład, taka kobieta, jak pisarka, używająca pseudonimu Jerzego Elliot (M-rs Lewes), i jej podobne są mniej godne głosu od bardzo wielu mężczyzn, nieuków, lub niedbających bynajmniej o sprawę publiczną, którzy przecież mają przystęp do urny wyborczej?

— M-me Bianchi, prawnuczka Davida, sławnego malarza francuzkiego z czasów pierwszego cesarstwa, rzeźbiarka wyższego talentu, której dzieła zyskały sobie dwukrotnie wzmianki zaszczytne na dorocznych wystawach sztuki, zwanych „Salonem“, i na wielkiej wystawie, otrzymała



od Akademii Francuskiej zaszczytny tytuł „Officier de l'Académie“.

— Uczona pisarka hiszpańska, autorka kilku dzieł wyższego znaczenia z zakresu filozofii i prawodawstwa, Concepcja Arenal, stała się godną w przekonaniu wielu uczonych mężów Hiszpanii, zostać członkiem madryckiej Akademii nauk moralnych i politycznych. Ponieważ jednak nigdy dotąd kobieta nie była w Hiszpanii przypuszczoną do godności akademickiej, rzecz przeto wywołała silny opór, zwłaszcza między starszymi akademikami.

— Wielka pani włoska, księżna Eugenia Litta Bolognoni, straciwszy najpierw męża, a następnie syna, sprzedała wszystkie swoje klejnoty i otrzymaną z tego źródła sumę ogromną 800.000 lirów, oddała na szpital dziecięcy w Medyolanie „Clinico-Chirurgico“. Dotacja ta nosi nazwę zmarłego jej synka: „Duca Andrea Litta Bolognoni“. Jeden naszyjnik z pereł i brylantów przyniósł 600.000 lirów. Obok tego ofiarowała ta pani pinakotece medyolańskiej obraz pędzla Tycyana.

— W Ameryce wychodzi 17.000 czasopism; a między nimi 500 poświęconych wyłącznie interesom kobiety.

## JUSTYNÓWKA

OBRAZEK Z ŻYCIA LETNICH WIESZKAŃCÓW

W MROZACH

przez

BOGUMIŁA HOFFA.

(Dalszy ciąg).

Pani Hubertowa ucałowała córkę i rzekła:

— Tylko się nie trwóż. Śniło mi się, że przechodziłyśmy przez tor kolejowy, kiedy nagle z szaloną szybkością nadpędził pociąg, ze świstem jakby wichru w uraganie, z grzmiotem i błyskiem, cały obryzany iskrami, zięjący ogniem, kłębam dymu owiany. Stałyśmy właśnie na szynach. Dobywałam wszystkich sił, aby je przejść, ale ani kroku naprzód, ani kroku w tył—obie byłyśmy jak przykute do ziemi. Strach śmiertelny mroził mnie, do kości przejmował. Ciebie widziałam w rozpacz—bladą, drżącą, okropną. Potwór ognisty już nadlatuje, już ma nas zmiążyć kiedy... kiedy...

— Co mam, mów, mów. Kiedy...

— Zjawił się ten Janek gajowy, mnie w tył gwałtownie pociągnął ku sobie, ciebie pchnął naprzód, i byliśmy ocalone.

— A widzisz, mam, jaki dobry sen — właśnie dobry.

— Tak, ale słuchaj dalej. Janka, gdy cię spychał z szyn, porwała lokomotywa i w naszych oczach—przejechała. Gdy pociąg przeszedł, na szynach leżała tylko jedna masa bezkształtna bez jęku, bez tchu, bez drgnienia... Takiego widoku nie zapomniał się nigdy, choćby go się w śnie tylko widziało.

— Tak, to okropne! Miałaś słusność, kochana matko! Ale to tylko sen. Sama przecież nieraz mawiałaś: „Sen mara—Bóg wiara“—i objęła matkę za szyję i pocałunkami okrywać jej nie przestawała.

— Tak też i teraz myślę i wierzę moje dziecko. Przyczyniło się do snu niemało zdarzenia sobotnie, niepokój o ciebie podczas burzy, potem twoje szczęśliwe ocalenie i powitanie, a potem wszystkim widok przelatującego w nocy pociągu. Sam przez się wpija się on w pamięć, pobudza wyobraźnię, a jeśli się w marzeniu sennem odbije, przeraża.

Nagle Justynka zawołała radośnie:

— Już idzie!

— Kto?

— Jan. Idzie tam ścieżką.

Istotnie na werendzie stanął Jan. Dziewczę powitało go serdecznie i zaprowadziło do pokoju. Pani Hubertowa zapytała go o matkę.

— Gorzej dzisiaj; leży.

— Biedna kobieta! — odezwała się pani Hubertowa:—Córka opowiadała mi, że bardzo słaba. Jak tylko będzie u nas doktor, zaraz go do was zaprowadzi.

— Matka bardzo dziękuje paniom za łaskę i prosi, aby pani przyjęła tych kilka jaj i trochę miodu — i Jan wydobyl z koszyczka garnuszek z miodem i podał pani Hubertowej.

— Dziękuję ci, mój Janku, — to będzie uczta dla nas, szczególnie dla Justynki, ona amatorka takich przysmaków.

A wyciągnawszy jeszcze jeden garnuszek — podał Justynce, mówiąc:

— Panienska lubi i poziomki?

— Ach, passyami! Serdecznie ci dziękuję. Zkądże masz to wszystko?

— Miód z naszego ulla, jaja matka zbierała od naszych kur, a poziomki—nazbierałem ja sam w lesie — dodał Jan skromnie.

— Toś je naumyślnie zbierał dla mnie, Janie — i podając mu rękę, dorzuciła: I dla tego pewno nie widziałyśmy cię wczoraj wieczorem w lesie?

— Panie były w lesie?

— Byłyśmy całe prawie popołudnie nad stawem. Ty aniś się pokazał. Zapewne szukałeś wtenczas poziomki dla mnie?

— Tak, panienska.

— Jeszcze raz ci dziękuję serdecznie, a teraz siadajmy do nauki.

— Ach, panienska.

— Nie bój się — nie będę bardzo surową.

Justynka przyniosła książkę i przybory do pisania.

Z początku przy czytaniu Jan wymawiał wyrazy bardzo nieśmiało; lecz powoli szło mu to coraz lepiej i Justynka widziała, że nauka nie będzie mozolną, a przy pilności ucznia czas sam przynosić musi coraz większą wprawę.

Pisanie szło trudniej.

Jan naśladował napisane mu przez Justynę listy, ale tak niezręcznie i koślawo, że dziewczę wybuchało śmiechem, mówiąc:

— To prawdziwe hieroglify! Ale nie zrażaj się pierwszym niepowodzeniem, jeszcze będziesz pisywał do mnie listy do Warszawy.

— Nie wiem, panienska: ręka taka ciężka, że się sam wstydzę.

Po nauce Jan musiał znowu zostać na herbacie, a po niej Justyna czytała na głos początek jednej z powieści.

Gdy Jan odchodził, Justynka zapytała go:

— Co myślisz, Janie? — Czy jutro znowu będzie czas taki brzydki, jak dzisiaj?

— Nie, panienska, jutro będzie chyba pogoda — odparł Jan. Teraz już nie pada, w nocy się wypogodzi.

— Obyś był dobrym prorokiem! — bo już mi tak tęskno do drzew. Wstawać będę teraz o szóstej: wstawszy, pobiegnę zaraz do lasu, do mego ulubionego miejsca pod wielkim świerkiem. Czemuś nie przyszedł wczoraj wieczorem?

— A bo panienska mówiła, że mam przyjść dopiero dzisiaj.

— Prawda, ale to dotyczyło się tylko nauki, lecz swoją drogą, jeżeli masz czas, na przykład, kiedy pada deszcz lub niema czego pilnować w lesie, to przyjdź zawsze do nas. Często potrzeba po coś posłać, spytać o co.

— Jak tylko będę mógł, to przyjdę chętnie.

I Janek, całując rękę Justyny, zegnał ją.

— Dobranoc Janie — więc jutro zobaczymy się?

— Jeżeli panienska każe...

I Jan odszedł.

Justyna patrzyła jeszcze czas jakiś za oddalającym się. Jednym spojrzeniem potem ogarnęła ciemne lasy i wreszcie posłała wzrok za oddalającym się pociągiem, który w jednej chwili obu-

dził w jej umyśle wspomnienie snu matczynego. Obraz widziany malował się żywymi barwami.

### IV.

Pilnym był uczniem Janek; przychodził regularnie co wieczór i zadziwiająco czynił postępy.

Przytem zawsze mile widziano go w domu pani Hubertowej, bo chętny był i nieustrudzony w załatwianiu rozmaitych poleceń i robień sprawunków.

Rzadkokiedy przychodził z próżnymi rękami; zaopatrywał spiżarnię w rozmaite potrzeby; postarał się o regularną dostawę codziennie pieczywa i mięsa. Jeżeli było potrzeba, przyprawadzał furmankę dla pań, porządną bryczkę na resorach, zaprzężoną w dzielne konie.

Zwolna stał się w domu pani Hubertowej — nieodzownym.

Nawzajem doznawał tam zawsze jaknajbardziej przyjęcia.

Ta życzliwość rozciągała się i na jego scho-rzałą matkę.

Panie dotrzymały obietnicy i Justynka pojechała z doktorem do starej Weroniki.

Lekarz zaordynował wprawdzie lekarstwo, lecz w poufnej rozmowie z Justyną i panią Hubertową nie obwijał prawdy w bawelnę: Weronika długo już żyć nie będzie mogła; przy bardzo tylko troskliwym pielęgnowaniu może dociągnie do przyszłej wiosny; dość jednego silnego moralnego wzruszenia, aby śmierć przyszła w jednej chwili.

Pewnego razu Justynka, na rannej swojej przechadzce, doszła do ulubionego miejsca w lesie, w dolince, pod olbrzymim świerkiem.

Nie wierzyła swoim oczom: takie tam znalazła zmiany.

Pod samym świerkiem usypana była z ziemi kanapka zieloną darnią obramowana, usłana po wierzchu mchem. Ziemia około kanapki była wyrównana i wysypana białym piaskiem.

Przed kanapką wznosił się mały stolik złożony ze słupka wkopanego w ziemię i przybitej na wierzch okrągłej deszczulki.

Justyna ucieszyła się tą troskliwością Janka — bo tylko Jan mógł zgotować jej taką niespodziankę. Siadając na kanapce spostrzegła wyryte w korze świerku wielkie „J“.

Siedziała chwilę, oglądając się, czy nie spostrzeże sprawcy tej niespodzianki, aby mu podziękować.

Niedługo czekała: nadszedł, ale zatrzymał się opodal, jakby przyjąć nie śmiał. Widząc, że się nie zbliża, dziewczę zawołało na niego:

— Janku. Janku!

Jan usłuchał, wyszedł, wyciągniętą rękę uściśnął i pocałował.

— Janku, dla kogo urządziłeś to wszystko? — zapytała fluternie.

— Dla panienki.

— Dla której panienki?

— Dla panny Justyny.

— Dla kogo? — A dlaczegoś mi nie powiedział?

— Co było mówić! Panienska polubiła to miejsce, a że nie miała gdzie siedzieć wygodnie, ubiłem kanapkę. Czy panienska się o to gniewa?

— Broń Boże! — owszem — bardzo się ucieszyłam i odtąd codziennie tu przesiadywać będę, jeżeli pogoda nie przeszkodzi. A jaką ładną literę wyryłeś w drzewie! To wcale ozdobne. Trzeba to miejsce, tę ustroń jakoś nazwać. Co myślisz, może „Janówka“?

— O nie, panienska, inaczej nie, tylko „Justynówka“.

— Justynówka?

— Tak, panienska, proszę bardzo.

— Niech i tak będzie! — lecz tylko pod jednym warunkiem: że i ty przychodzić tu będziesz. Przyniosę tu z sobą zawsze ładną jaką książkę; czytać będziemy razem. Dobrze?

— O, jaka panienska dobra!



— Kanapka dosyć długa, pomieszczą się dwie osoby: siadajże więc obok mnie — i Justynka posunęła się trochę ku brzegowi.

Jan wahał się.

— Siadaj, Janie.

— Jeżeli panienka pozwoli, to siądę na ziemi.

— Nie, tu dość miejsca, kanapka twojem jest dziełem, tyś ją zrobił i siedzieć - byś na niej nie miał! Proszę cię, siadź.

Nareszcie Jan usiadł na kanapce, ale na samym brzeżku.

Justyna opowiadała mu wiele ciekawych rzeczy z przyrody, szczególnie o nieprzebranych dziewiczych lasach podzwrotnikowych. Jan słuchał z natężoną uwagą, — zwłaszcza, że wzbogacała opowiadanie rozmaitemi opisami zdarzeń z życia podróży.

Odtąd była Justynówka celem codziennych wędrówek Justyny. Spotykała tam często Janka.

Czytała z nim razem na głos całe ustępy z książek. Najbardziej zaciekały go powieści Juliusza Verne'a.

Naturalnym następstwem takiego głośnego czytania książek — było czytanie w oczach i w sercu. Towarzystwo Justyny roznieciło w duszy Jana uczucie, które oświadczyło mu się zupełnie.

Justysia działała z całą naiwnością, nie przypuszczając nawet, aby prosty ten chłopak wiejski zdolnym był do uczucia szlachetnej miłości.

Spotkanie się jej z Janem, w warunkach tak szczególnych, fantastycznych, dało jej zapomnieć, że stoi on tak daleko od tej sfery, do której sama należała.

W jej oczach Janek był jakąś istotą mytyczną, podobną do bohaterów klechd i podań, z zaczarowanego świata.

Przyłączyła się jeszcze i wdzięczność za ocalenie życia, jak mniemała. W oczach jej czyn Janka przybierał rozmiary olbrzymiego jakiegoś poświęcenia.

Poza tem wszystkim było jeszcze co innego. W pierwszych dniach pobytu w Mrozach jednostajnością letnictwa swego znudzona, była Justyna dostępniejszą na wrażenia przerywającą tę jednostajność i nawet sama ich szukała. Zajęcie się Jankiem mogło być tylko zabawą, rozrywką — ale było. Z pewnością nie rozważała, do czego takie zajęcia się doprowadzić ją może. Wiedziała tylko, że skracało jej długie monotonne dni dobrowolnej samotności.

Samotność ta, wraz z samym pobytom w Mrozach, który ją sprowadzał za sobą, znalazła swój kres prędzej, niż sobie matka z córką ułożyły.

Pełnomocnik, któremu pani Hubertowa, powierzyła prowadzenie interesów majątkowych, bardzo zawikłanych, nalegał silnie na przyspieszenie powrotu.

Nie było rady: pani Hubertowa z córką musiała Mrozy pożegnać.

Na Janie ta wiadomość wywarła silne wrażenie; był to dla niego cios bolesny.

Tak czuł się szczęśliwym, tak obóstwiał pannę Justynę — bo inaczej tego uczucia zwać nie można — że teraz émiło mu się w oczach, a duszę niewysłowiony jakiś niepokój i smutek ogarniał, stopniowo coraz bardziej i głębiej, jak mrok po zachodzie słońca.

Nigdy i nikomu dotychczas się nie zwierzył jak mu była drogą ta „panienka“. Myśl swoją o niej, pamięć, uczucie, którem pierś była wzbрана — wszystko to krył w sobie jako świętą tajemnicę.

Nie zadawał sobie nawet pytania: czy, gdyby był królewiczem a ona królowną z bajki, miałby ochotę się z nią ożenić? Nie marzył wcale o tem. Dla niego wystarczało wiedzieć tylko, że jest niedaleko od niej i że zbliżyć się mu do niej wolno.

Pierwszy też raz dotknięty został nader boleśnie oznajmieniem Justyny, że za dni kilka wyjadą z Mrozów — posmutniał. Małą to było dlań ulgą, że panie pozwoliły mu czynnie zająć się przygotowaniem do wyjazdu.

Całe ostatnie dwa dni spędził w mieszkaniu pani Hubertowej, — pakował rzeczy, książki i sprzęty do skrzyń i koszów, pomagał i w kuchni pakować naczynia kuchenne, postarał się o większy zapas masła świeżego i innych produktów wiejskich i wyexpedyował skrzynie, kosze i kufry koleją do Warszawy.

W przeddzień wyjazdu Justyna przed wieczorem wyszła z domu, aby raz jeszcze zajrzeć do starej Weroniki.

Zastała ją w łóżku.

Pocieszała ją, ile mogła, i zostawiła jej książeczkę do modlitwy, prosząc Jana, ażeby matce czytał z niej często, codziennie.

Jan przyrzekł święcie wypełniać życzenia panienki, a Weronika rozplakała się, żegnając Justynę, i nazywając ją swoją dobrodziejką, swym skarbem, swym aniołem stróżem.

Ztamtąd pobiegło dziewczę do Justynówki.

Usiadła razem z Janem na kanapce darniowej i mówiła mu o sobie i matce swojej, jakie zajęcia i kłopoty czekają ją w Warszawie, jakie trudności matka ma z uregulowaniem majątku po ojcu, i jak długiego wreszcie czasu potrzebować będą na to, aby mieć zupełny spokój i pozbyć się wszelkich trosk i niepewności. Gdy się już interessa ułożą, jak należy, wyjadą obie zagranicę. Taki jest projekt.

— A kiedy? Spytał Jan.

— Zapewne nie prędzej, aż po skończeniu się żałoby.

— A na imieninach panienki?

— Imieniny moje zapewne obchodzić będą jeszcze w Warszawie.

Zkąd ci przyszło pytać się o to?

— Bo... tak tylko.

— Zapewne chcesz mi znowu zrobić jaką niespodziankę?

— Nie wiem, panienko.

— Czy będziesz czasem myślał o mnie, Janie?

— Ach, panienko, jakże zapomnieć — bym mógł o panience? — nigdy!

— A będziesz dalej się uczył? Będziesz czytał i pisał?

— O będę, panienko!

— Zostawię ci rozmaite książki ładne i dużo papieru i piór, ażeby ci niczego do nauki nie zbrakło.

— Bóg zapłać, drogiej mojej panienco!

Siedzieli chwilę w milczeniu.

Nareszcie Justyna odezwała się:

— Mój Boże, tak człowiek żegnać musi osoby i miejsca, które mu się stały drogimi! Przyznaję ci się otwarcie, Janie, że przybyłam do Mrozów wcale niechętnie: — sądziłam, że tu będę skazana na najokropniejsze nudy. Dzięki tobie przeżyłam ten czas bardzo przyjemnie i dziękuję ci za to serdecznie. Nigdy nie zapomnę tej nocy strasznej — ani też ciebie, mego wybawcy.

Całe to zająście takie silne na mnie wywarło wrażenie, że do tej pory nie mogę sobie wszystkiego jasno wytłómaczyć i zdaje mi się, że to już w książce jakiejś czytałam, bo rzeczywiście było to podobne do bajek z tysiąca i jednej nocy, o których ci opowiadałam. A tę książkę moję, gdzie znalazłeś?

— Tu leżała, na ziemi. Na drugi dzień rano przyszedłem tutaj i spostrzegłem ją. Panienska przybiecała mi opowiedzieć, co tam wydrukowane.

— Prawda. Chcesz słyszeć? to ci teraz opowiem.

— Jeżeli łaska — to proszę.

— Opowiem ci krótko — bo i czas już krótki.

— O, jeszcze daleko do zachodu słońca.

— Tak, ale muszę wracać wcześniej do domu, bo mama o to prosiła. Powieść więc, której w owym dniu pamiętnym dla nas obojga właśnie dokończyłam, nosi tytuł: „Pracownicy morza“, a to dlatego, że co tam opisane działo się w środku morza, na jednej z wysp północnej Francji, które do dziś dnia należą do Anglii. Mieszkańcy tej wyspy trudnią się głównie rybołówstwem i żegluga.

I Justyna opowiedziała Janowi treść głośnej powieści Wiktora Hugo. Jan słuchał z najwyższym zajęciem.

Gdy skończyła, patrzył na nią z wyrazem przerażenia...

— Prawda, że ta historia kończy się bardzo smutno? — zapytała Justyna.

— Ale dlaczego on nie ożenił się z nią?

— Bo ona kochała innego.

— To ona go zdradziła?

— Nie można tego powiedzieć, bo on nie oświadczył się jej wyraźnie; nie nie wiedziała nawet, że on ją tak bardzo kocha.

— Biedny Gilbert! — tak strasznie zakończył życie!

— Bardzo smutny był los biednego Gilberta. Kochał ją nad życie, dlatego życie bez niej nie miało dla niego żadnej wartości.

— Ale nie pojmuję dlaczego on dobrowolnie wydał ją za mąż, a potem sam z własnej woli utopił się? — zapytał Jan.

— To właśnie dowodzi jego nieograniczonej miłości. Gilbert pragnął li tylko jej szczęścia, bez względu na to, co się stanie z nim samym. A ty jakbyś zrobił, Janie?

— Panienko, gdybym był w jego położeniu, uczyniłbym taksamo, lecz wprzód powiedziałbym jej, co się stać musi.

— To-by i ona była nieszczęśliwa, a on właśnie kochał ją tak bezinteresownie, że nie chciał zamącić jej szczęścia. Takich ludzi mało jest na świecie. Teraz kocha się więcej siebie, niż tego kogo niby-to się kocha.

Jan drgnął.

Czy Justyna spostrzegła, co się dzieje w jego sercu, czy też przypomniała sobie tylko przyrzeczenie dane matce? wstała bowiem szybko i ze słowami:

— Zapomniałam, że trzeba śpieszyć do domu — odwróciła się i zabrała się do odejścia, a postąpiwszy parę kroków, zatrzymała się i spojrziała raz jeszcze na tę miłą ustroń, urządzoną przez pocziwego Janka.

Pod nakryciem świerku prawdziwie romantycznie wyglądała ławka darniowa, nad którą ten stary olbrzym, dumny niby, że jemu zwierżono opiekę nad Justynówką, ochronnie rozpostarł swoje szerokie gałęzie, tworząc strzechę nieprzepuszczającą prawie ani deszczu, ani promieni słońca.

Justynie żal było opuszczać to miejsce — może na zawsze.

Zamyśliła się przez chwilę, lecz, spojrzawszy na Jana, który nieruchomie, ze spuszczoną głową, ciągle jeszcze siedział na ławce, zawołała na niego:

— Chodź, Janie! Wyprowadź mnie z lasu.

Jan, jakby przebudzony ze snu, podniósł oczy; na rzęsach błyszczały mu jeszcze łzy. Popatrzał chwilę na Justynę, wstał i poszedł za nią, milcząc.

Justynka przyspieszała kroku, rzadkokiedy przerywając milczenie, które i z głośny lasu i z głębi ich dusz własnych, choć odmiennie czujących, opadało im na usta.

Na brzegu lasu pożegnała swego towarzysza:

— Wszak przyjdiesz jeszcze dziś wieczorem do nas?

I oddaliła się szybko, nie czekając na odpowiedź.

Jan patrzył za odchodzącą, pograżając się w coraz głębszy smutek. Na skraju lasu pozostał aż do zmroku.

Nazajutrz w południe panie wraz z całą służbą i wszystkimi bagażami znajdowały się na stacyi.

Gospodarz ich i gospodyni odprowadzili je i żegnali ze szczerym żalem, bo pani Hubertowa wraz z córką zjednała sobie ich sympatyę.

Jan zajęty był przy kassie expedyowaniem rzeczy.

Znajome rodziny, przebywające na letnim mieszkaniu w Mrozach, ubolewały, że panie tak wcześniej opuszczają je, zwłaszcza teraz, gdy pogoda się ustaliła i poia na wsi najprzyjemniejsza.

Pociąg nadjechał; kobiety, żegnając się ze znajomymi, zajęły miejsca w wagonie.

Janek podbiegł, a węczywszy paniom kwity na wysłane rzeczy, ucałował ręce starszej pani i Justyny, słowa przezeń jednego przemówić nie mógł.



Pani Hubertowa dziękowała mu serdecznie za jego przywiązanie i usługi, a panna Justyna szepiała tylko:

— Bóg z tobą, mój Janie!

Nie wypadło jej inaczej żegnać Jana — bo w przedziale siedziało więcej osób.

Konduktor zatrzasnął drzwiczki, pociąg ruszył ze stacyi.

Janek otarł oczy, patrząc za oddalającym się pociągiem, i poszedł do lasu.

Późna noc dopiero wypłoszyła go z Justynówki.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## ZE ŚWIATA.

— Angielscy astronomowie oddali się zbiorowo badaniom tej wielkiej hipotezy: jakim być może koniec naszego świata? Mgławice w okolicy Oryona, Saturn i Księżyc przedstawiają typy pierwszego, średniego i ostatniego stadium tego długiego procesu, przez który materia przechodzi w rozwoju tworzenia się ciał niebieskich. Mogą upłynąć wieki całe, zanim zdołamy dopatrzeć się małej jakiejś zmiany, którą przebywa Ziemia, i dostrzedz, że Merkury, który jest bliższym Słońca niżeli my, odbywał poprzednio drogę krótszą niż obecnie, i że Ziemia przysuwa się coraz do słońca. Następstwem tego faktu musi być przypuszczenie, że okolice równika staną się zczasem zbyt gorącymi, aby mógł istnieć tam człowiek, gdy zarazem przestrzenie krain zimniejszych zaczną stawać się coraz cieplejszymi, aż ostatecznie całe życie naszej planety skupi się w strefach podbiegunowych. Nie tylko Włochy, Hiszpania, ale Anglia i nasze okolice ziemi staną się paloną przez Słońce pustynią, gdy Grenlandya okryje się bujną roślinnością i w następstwie tych zmian ludzie zaczną się skupiać coraz gęściej w strefie podbiegunowej, aż przy tak ścieśnionych granicach mieszkalnych okolic ziemi nie zdołają w końcu wyżywić się — i głód, straszny głód bez nadziei ratunku, zacznie dziesiątkować nieszczęśliwych. Koniec istnienia człowieka na ziemi ukaże im się narazie w perspektywie okrutnej: upał i susza zaczną się stawać coraz — to nieznośniejszymi, a deszcz, ani rosa nawet nie będą już odwilżać zeschłej, skamieniałej ziemi. Ożywcze źródła wody przestaną bić z jej łona, rzeki zamienią się w strumyki i do braków pożywienia przyłączy się okrutnie brak wody. Kogo oszczędzi głód, tego nie ominie męczarnia pragnienia. Lecz nie tu jeszcze będzie koniec cierpienia, od których nikt zabezpieczyć się nie zdoła. Czas jakiś palące promienie słońca przysłaniać będą gęste chmury, tworzące się wskutek parowania rzek i mórz, lecz nadejdzie chwila, gdy słońce wypije je wszystkie, wessie w siebie, i odtąd ognista jego kula błyszczeć będzie i paść bez przysłony najmniejszego obłoczka, bez najlżejszej mgły, a wtedy wyginą ostatni mieszkańcy ziemi, zamrze na niej wszelkie życie organiczne i nastanie koniec świata.

— W czasie ostatniego, dni dziesięć trwającego wybuchu Wezuwiusza, w chwili najgroźniejszej aeronauta Spelterini, Szwajcar, zapragnął dokonać badań krateru z wysokości i wzniósł się

balonem „Urania“ z Portici. Balon ten miał objętości 1.600 metrów kubicznych i oprócz śmiałego badacza mieścił jeszcze cztery osoby, między którymi znajdował się francuzki konsul z Neapolu, Pelette. Wznoszono się w górę szczęśliwie, lecz w bliskości Wezuwiusza zmienił się kierunek wiatru i chociaż balon znajdował się na 2.500 metrów ponad ziemią, nie zdołał jednak wpaść w potrzebny mu prąd powietrza, i wiatr pędził nań chmury popiołu wyrzucanego przez Wezuwiusz. Wybuchający słup tego popiołu miał 400 metrów wysokości a 30 metrów objętości i przedstawiał się oczom w formie jakoby olbrzymiej sosny, której wierzchołek chyłąc się, spuszczał się z wolna ku Pompejom. Powietrzni żeglarze zdjęli fotograficzny obraz tego widoku na wysokości 1.000 metrów ponad ziemią. Po pewnym czasie, już o zmroku, prąd powietrza zaczął unosić balon w stronę wyspy Capri; że przeciw Spelterini nie chciał posuwać się w tym kierunku, otworzył kłapę, i balon zaczął spadać z taką gwałtownością, że w przeciągu pół minuty przebył 1.800 metrów przestrzeni; lecz na szczęście wielka przytomność umysłu ocaliła nadpowietrznym żeglarzom życie, Sp. zdołał bowiem utrzymać balon na sto stóp ponad powierzchnią fal morskich przez szybkie wyrzucenie 300 kilogrammów balastu. Balon unosił się tak ponad samą już wodą przeszło pół godziny, aż wysłany mu na pomoc parostatek zdołał go przyciągnąć do brzegu. Wylew lawy, który d. 31 Lipca otworzył sobie nowe ujście, dotarł do miejscowości Atrio del Cavallo.

— Nowe jezioro, a raczej morze śródziemne, które utworzyło się wśród rozległej pustyni Colorado, rozciągającej się w najbardziej na południe położonej części, zwanej San Diego, „Salton Sea“, ma, jak wykazał jego pomiar 2.000 angielskich mii kwadratowych rozległości, a wody jego wciąż przybierające pochodzą wedle ostatnich badań z rzeki Colorado, nigdy zatem nie ulegnie ono wyschnięciu przez parowanie, i pustynia Colorado zamieni się niewątpliwie w krainę urodzajną.

— Amerykański półkownik Dopenforth, należący do składu ministerium rolnictwa, wyruszył z Washingtonu do Texas dla czynienia dalszych doświadczeń nad tem: czy nie urodzajnych, z powodu panującej w tych okolicach posuchy, przestrzeni, nie dałoby się użyźnić zapomocą sztucznego deszczu, wywołanego przez eksplozję balonów, napełnionych tlenem i wodorem? Do tegosamego celu służyc mają doświadczenia z dynamitem, którym napełnione balony papierowe zapalano by zapomocą elektryczności w powietrzu. Przypuszczają, że te eksplozje przez rozrzedzenie powietrza mogą deszcz sprowadzić.

## MYSLI.

— Pierwiastkiem boskim w człowieku jest szeroko pojęta humanitarność. Człowiek, który sprawę ludzkości uważa za własną, uczestniczy w dziele boskim.

Herder.

— Rozum nasz ma prawo do pracy dla przyszłości, gdyż na to powstał i rozwinął się w czło-

wieku, aby był postęp — coraz nowe i lepsze kształtowanie się społeczeństw a nawet i przyrody.

Herder.

— Rozum to dążenie do prawdy.

Carey.

— Występek i nędza są skutkiem omyłek ludzkich, a nie praw boskich.

Carey.

— Są rzeczy, których żadna nie przeprze ustawa, bo powyżej praw ludzkich stoją boże prawa.

Kantorbery Tymowski.

— Człowiek wtedy tylko jest spokojnym i zadowolonym, cierpi a nawet ginie ochotnie, jeżeli wierzy, że służy prawdzie i dobru ogólnemu.

Schiller.

— Cóż człowiek może dać człowiekowi wyższego nad prawdę?

Schiller.

— Prawda jest i była zawsze najpiękniejszym ideałem ludzkości.

Schiller.

— Strzeżmy się umrzeć za życia.

Quinet.

— Ja sam odpowiadam za to, czem jestem, sam bowiem stwarzam się codzień.

Quinet.

## OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się Arkusz 7-my powieści pod tytułem: **Drogi życia**, przez D. K. Murray'a. Przekład z angielskiego.

**TREŚĆ:** Dziś i przeł wiekami. — Garbuska. Powieść, przez Michała Bałuckiego (dalszy ciąg). — Korrespondencya zagraniczna (Poznańska). — Nowiny Paryzkie (dokończenie). — Kronika działalności kobiecej. — Justynówka, obrazek z życia letnich mieszkańców w Mrozach, przez Bogumiła Hoffa (dalszy ciąg). — Ze świata. — Myśli.

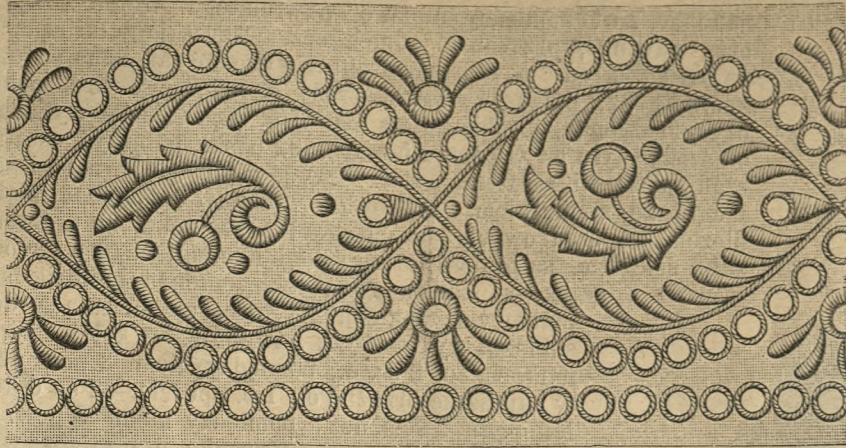
**Dodatek obejmuje:** Arkusz 7-my powieści, pod tytułem: **Drogi życia**, przez D. K. Murray'a. Przełożona z angielskiego. — Przegląd mód. — 30 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**



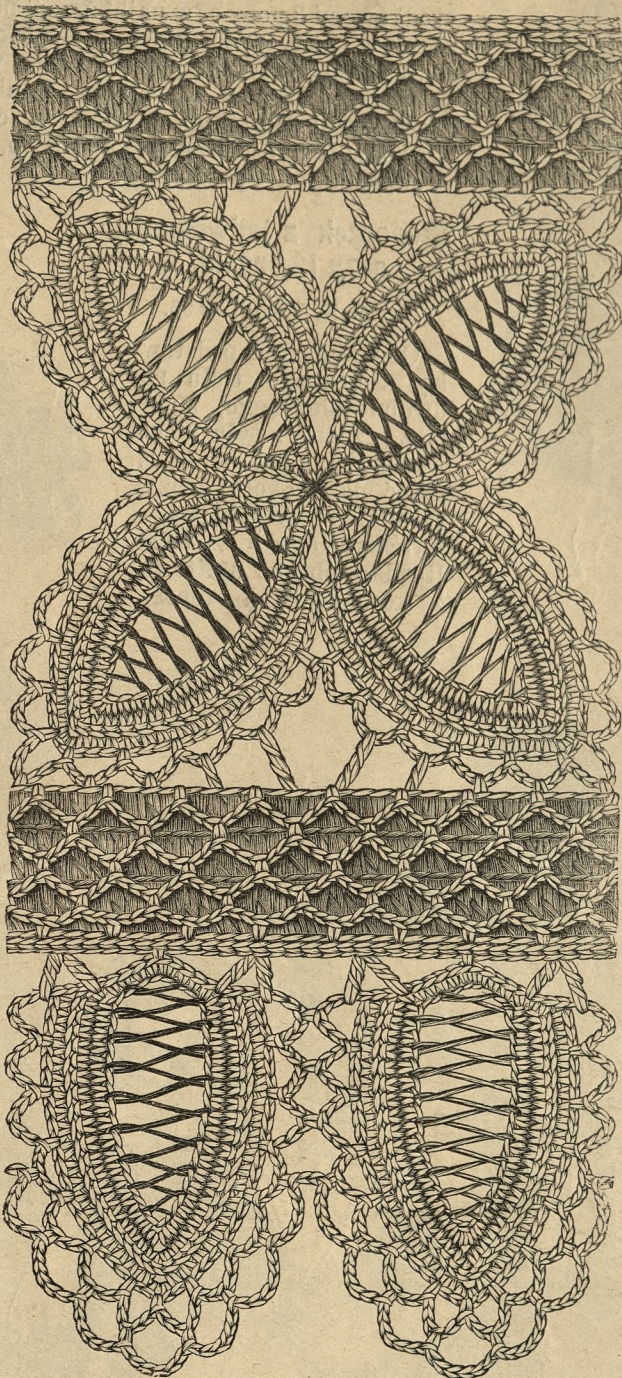
Sukienka dla dzieci od 1—2 lat.

Rycina Nr 4 i 5 w Bl. Nr 35. (Krój pierw. str. tabl. Nr V, fig. 31 i 32).

Sukienka wykonana białą włóczką zefirową, szydełkiem, tunetańskim ścięciem, oraz podobnym do tego ścięciem tworzącym pasy, na których wykonany jest haft z gwiazdek białą filozelą. Dolny brzeg sukienki, wykrój szyi, tylny brzeg z prawej strony, oraz rękawki, okala koronka do przewlekania szersza lub węższa. W pasie przez rząd wykonanego łańcuszka przewleka się wstążkę do wiązania, jak również przez koronkę otaczającą wykrój szyi. Wykonać stanik sukienki podług kroju fig. 31 od tylnego brzegu z lewej strony na założeniu dowolnej liczby oczek, zaczynając od 10 rzędów ścięciem tunetańskim, przybierając oczka lub gubiąc je, stosownie do formy. — 11 rząd: oczka przybierając z żyłek łańcuszkowych oczek poprzedniego rzędu z lewej strony będących, w powrotnej zaś kolei, naprzemian, najbliższe 3 oczka kolejno przerabiać a na każdą muszkę 5 pow. o.



Nr 1. Szlak do bielizny (haft biały).



Nr 4. Część roboty szydełkowej do serwetki Nr 5 (wielkość oryginalna).

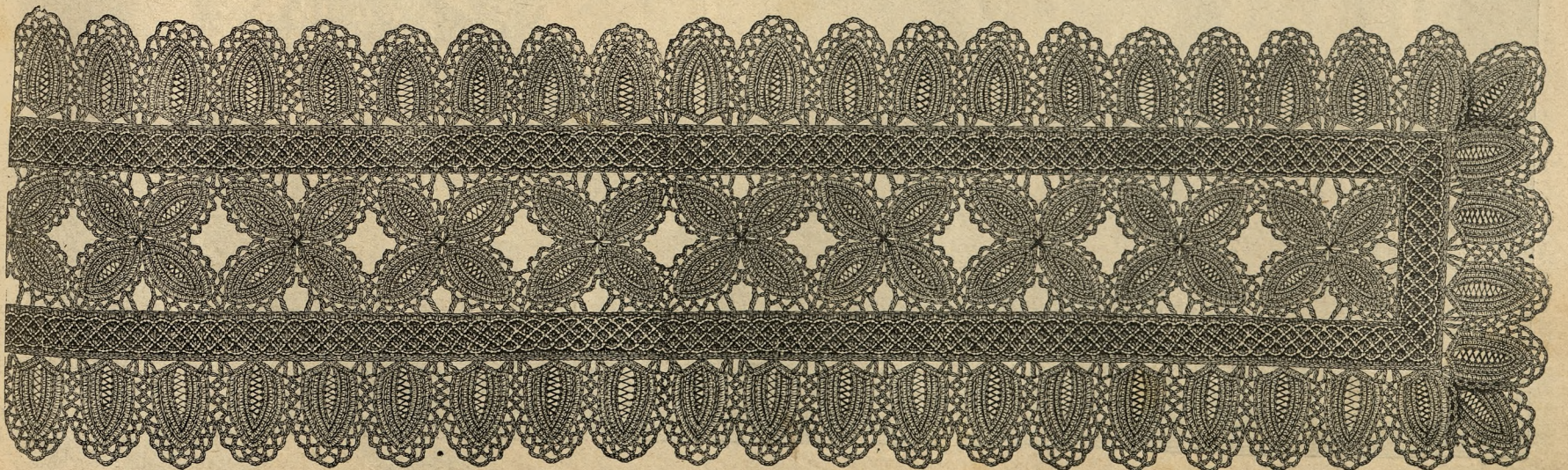
wykonać. — 12 rząd: zwykłym tunetańskim ścięciem. — 13 rząd: tak jak 11 rząd, lecz oczka pierwszej kolei przybierać jak zwykle w tunetańskim ścięciu, a muszki wykonywać tak, aby się mijaly. — 14 do 16 rzędu: naprzemian jak 12 i 13 rząd. — 17 rząd: w pierwszej kolei; przybierać oczka z żyłek łańc. ocz. poprzedniej kolei, będących z lewej strony, w powrotnej zaś kolei przerabiać je jak zwykle. Powtarzać ciągle 4 do 17 rzędu (na wzorze 7 razy), przyczem w pod pachę stosownie do kroju nie należy 12 i 14 rzędu całkowicie wykonywać. Połączyć sukienkę na ramionach i wykonać przy wykroju szyi dwie koleje śc. ocz. a w końcu z prawej strony tylnego brzegu 1 kolej ścis. łańc. ocz., które należy wykonać w żyłki łańc. ocz. poprzedniego rzędu z lewej strony będących. Ażurowy szlaczek wykonać jak następuje: 2 o., między niemi nawinięte o. na szydełko, w najbliższe o. przybrać, żyłki będące na szydełku przerobić 1-m ocz., \* 3 pow. o., 1 ścis. o. w górne poprzeczne żyłki, poprzednio jednym ocz. przerobionych żyłek,



Nr 2. Suknia z batystu (do ryc. Nr 3). Opis odwr. str. tabl.



Nr 3. Suknia z batystu (do ryc. Nr 2). Opis odwr. str. tabl.



Nr 5. Serwetka na kanapkę (robota szydełkowa i ściąg koronkowy).





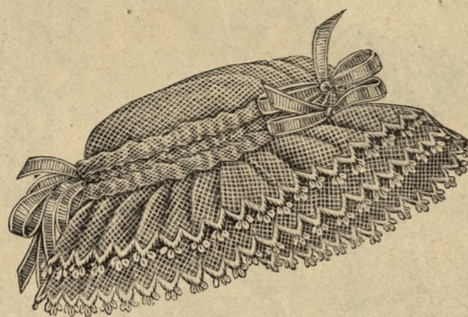
Nr 10. Suknia z sukna i bengaliny. (Opis pierw. str. tabl.)

nawinąć, 2 o., pomiędzy nimi o. nawinięte w drugie z rzędu ocz., nawinąć, przerobić jednym ocz. wszystkie żyłki będące na szydelku, od \* powtórzyć. Rękaw wykonać tak samo podług kroju fig. 32, połączyć z lewej strony koleją ścis. ocz., połączyć z sukienką, obrobić koleją ażurową. Spódnicekę wykonać od środka tyłu na założeniu 50 ocz., 32 paski połączyć ostatni rząd z oczkami założenia, zmarszczyć w górnym brzegu i połączyć ze staniczkiem. Haftowane gwiazdki wykonać białą filozelą na środkowych pasach gładko wykonanych tunetańskim ściegiem, są to dość liczne ściegi obejmujące 4 o. w odstępach 6 oczek, w środku gwiazdek wykonać punkcik supekowym ściegiem. Koronkę zakończającą dół sukienki wykonać jak następuje.—1 kolej: ciągle naprzemian: 2 śc. o., pomiędzy nimi 3 pow. ocz. w najbliższe brzeźne o., 1 o. opuścić.—2 do 6 kolej: ciągle 2 ścis. ocz., pomiędzy nimi 3 pow. o. w najbliższe 3 pow. o. Koronkę otaczającą wykroj szy wykonać: 1 kolej, w której ciągle 2 ścis. ocz., pomiędzy nimi 3 pow. o. w najbliższe ocz., poczem 7 kolej, w których 4 ścis. ocz., pomiędzy środkowymi 3 pow. o. w najbliższe 3 pow. o. Kolej oczek w pasie, przez które przewleka się wstążkę, wykonać jak następuje: 1 śc. o. w najbliższe o. brzeźne, \* 8 pow. o., połączyć je ukośnie z ocz. nieco wyżej położonym w pasie, 1 śc. o., 8 pow. o., znów je ukośnie połączyć 1 śc. o. z brzeźnem o. sukienki, od \* powtórzyć.

**Czepeczek z jedwabnej gazy i koronki.**

Rycina Nr 7 w Bl. Nr 35.

Obszyć drutem podstawkę z grubego tiulu podwójnie złożonego, mającą z przodu i z tyłu 2 cen. wysokości, z boków 6½ c. objąć ją wokół wążką niebieską wstążeczką i wykonać denko z tiulu. Rondko obszyć uplisowaną koronką 6½ c. szeroką.



Nr 11. Ranny czepeczek.



Nr 7. Tylna część sukni do ryc. Nr 12.



Nr 6. Tylna część sukni do ryc. Nr 12.



Nr 8. Czepeczek dla starszej osoby.



Nr 9. Kapelusz ozdobiony dżetem.

Główkę pokryć zręcznie upiętą chusteczką z jedwabnej gazy ze szlakiem haftowanym.

**Koronka do ozdoby różnych ubrań. Haft na tiulu.**

Rycina Nr 8 w Bl. Nr 35.

Koronkę wskazaną na ryc. Nr 8 można wykonać na czarnym lub kolorowym tiulu, bawełną lub jedwabiem. Wzór przedstawia haft na białym tiulu, wykonany białą bawełną i zakończony ząbkami dzierganemi. Należy deseń wyrysować na płótnie, przyfastrygować tiul, poczem przewlekać bawełną, stosując się do deseni.

**Taboret z haftem.**

Rycina Nr 10 w Bl. Nr 35.

Taboret 52 c. wysok. mający a 36 c. w przecięciu, wewnątrz pusty, z trzciny lub innego wyrobu, służyć może do bielizny, jako też i do chowania roboty, jednocześnie za krzesło służyć może. Taboret należy gładko obciągnąć suknom ceglastej koloru, przymocować brzegi z lewej strony i ozdobić w górze bufką z tegoż materiału w jaśniejszym cieniu. Trzy potrójne wycięte w zęby patki, haftowane różnokolorową włóczką, różnymi ściegami na biał spadają na boki taboretu, gruby sznur z włóczki ceglastej i złotej nitki zakrywa brzeg patek, kokardy i kwasty zdobią je. Wierzch taboretu również obity bają ze stosownym haftem.

**Suknia powłóczysta na wieczory, wesela i t. d.**

Rycina Nr 13 i 18 w Bl. Nr 35. (Kroj odwr. str. tabl. Fig. I—IV).

Suknia z czarnego jedwabnego adamaszku ubrana czarnym haftem z paciorem oraz dżetowymi grełotkami. Skrając podług kroju fig. I jedną część złożoną wzdłuż środka, podług fig. II dwie części zszyć je od 1 do 2, podszyć u dołu na 30 c. muslinem z lewej strony, z zewnętrznej zaś falbanką plisowaną na 8 c. szeroką, oraz zmarszczoną falbaną na 220 c. dług. a 18 c. wysok., przymocować w miejscach oznaczonych \*, elastykę i tasiemki do wiązania i pozesywać górne zaszewki, następnie przyszyć na bokach dwie części z adamaszku odpowiedniej długości, w dole na 54 cent. szer., w górze na 26, które należy w dole wyciąć w zęby i ozdobić haftem i grełotkami. Na tych bokach ułożyć przednie części skrajane podług fig. III, zszyte w środku i podłożone muslinem, wycięte u dołu w zęby i ubrane haftem. Na tren skrajając



Nr 12. Suknia dla 14 lat (do ryc. Nr 7). Kraj i opis odwr. str. tabl. Nr IV, fig.

Nr 13. Suknia dla panienki od 15—17 lat (do ryc. Nr 6). Kraj i opis odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 40—49.



Nr 14. Suknia z batystu (do ryc. Nr 16). Opis pierw. str. tabl.

Nr 15. Suknia z muslinu wełnianego (do ryc. Nr 18). Opis i pierw. str. tabl.

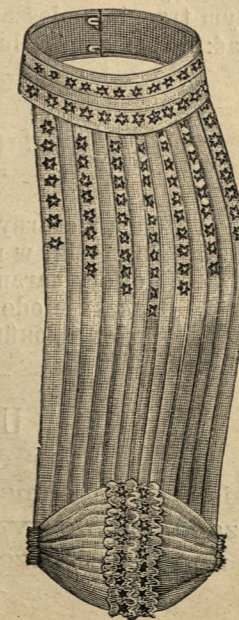
Nr 16. Część przednia sukni Nr 14.

Nr 17. Suknia dla panienki od 6—8 lat. (Opis pierw. str. tabl.)

Nr 18. Tylna część sukni Nr 15.



Nr 19. Wieczorowe i do teatru.



Nr 21. Napiernik z krepy.



Nr 22. Suknia dla młodej osoby. (Opis pierw. str. tabl.)

Nr 23. Suknia z materiału prążkowanego i bengaliny. (Opis odwr. str. tablicy).



podług kroju fig. IV dwie części, zszyć je od 7 do 8, podszyć włosienicą na 55 centim. od dołu, w odległości 56 cent. od bocznego brzegu; resztę podszyć muslinem, wyciąć u dołu w zęby. Ułożyć w górze w fałdy, trafiając  $\dagger$  na kropkę a  $\dagger$  a i b na odpowiednich kropkach i przyszyć na bokach od 5 — 6. Staniczek z krótką baskiną, otwarty z przodu ubrać tiulem, paciorkami i grełotkami, jak również rękawy. Odstający kołnierzyk obszyć drutem, rękawy w górze bufiaste ozdobić u dołu paciorkami i grełotkami.

### Szalfroczek z kaftanikiem.

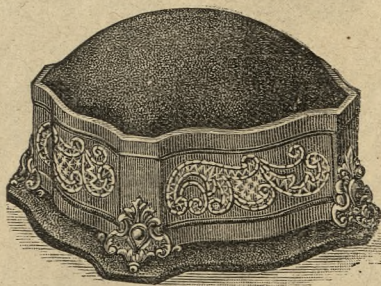
Rycina Nr 14 w Bl. Nr 35. (Kroj odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 36—45).

Szalfroczek z szafirowego wełnianego materiału i białego w szafirowe paski, składa się ze spódnicy i kaftanika. Spódnicę skrajając z szafirowego kamlotu na 107 cent. dług. z przodu, 111 c. z tyłu a 210 c. szerok., wykończyć ją jak zwykle i pokryć drugą spódnicę z materiału odpowiedniej długości a 300 cent. szerokości, ułożonej z przodu w 4 zakładki na 12 c. dług. a  $2\frac{1}{2}$  c. szer., resztę zmarszczyć w górnym brzegu i wszyć w pasek razem z pierwszą spódnicą. Po dopełnieniu złożenia fig. 39, 41 i 45 skrajając z podszywki podług fig. 36 z uwzględnieniem właściwego konturu 2 części, podług fig. 44 rękawy, z materiału w paski podług fig. 36 dwie części, w całej wielkości, podług fig. 42 i 43 po jednej części złożonej wzdłuż środka, podwójnie i z merli, następnie z materiału szafirowego podług fig. 37—41 po dwie części, podług fig. 45 dwie części złożone wzdłuż środka z uwzględnieniem konturów spodu rękawa w fig. 44 i 45. W podszwecie przodów wykonać zaszwęki, zmarszczyć górny i dolny brzeg przodów z materiału, zszyć gorsecik podszyty podszewką od 1 do 2, podłożyć przednie części muslinem i materiałem od przedniego brzegu na 17 c. szer., zresztą tylko podszewką, wykonać w takowych zaszwęki, oraz szew od 5—6. Sfastrygować przody, gorsecik oraz drugą połowę przodów na podszwecie, w której wykonać poprzecznie dziurki do zapinania na guziczki, skrajając podszewkę pod boczki i plecy, w których wykonać zakładki, połączyć wszystkie części podług cyfr i wszyć kołnierzyk z paseczkiem, zmarszczyć podszewkę w górze od  $\dagger$  do  $\dagger$ , zszyć je ze spodami, ubrać w dole materiałem w paski, ozdobić guziczkami, pokryć rękawem z materiału zmarszczonym w dole i w górze i wszyć w stanik podług cyfr. Jedwabny sznur służy do wiązania przy szyi, sznurek i guziki zdobią przód gorsecika.

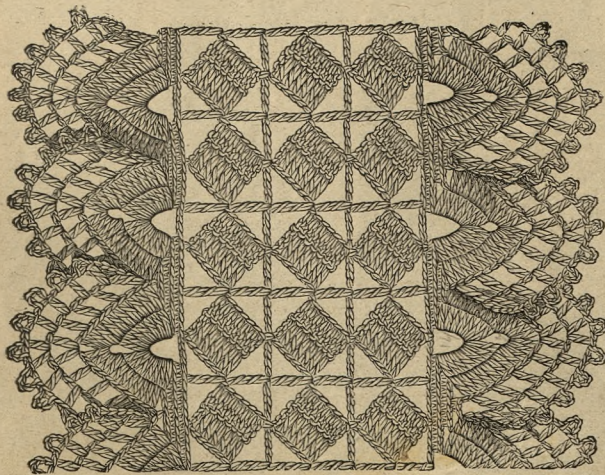
### Fartuszek dla panienki od 2—4 lat.

Rycina Nr 16 w Bl. Nr 35. (Kroj pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 26—30).

Skrajając z perkaliku białego w ponsowe paski według fig. 26 i 27 po jednej części, według fig. 30 dwie części złożone wzdłuż środka, według fig. 28 i 29 po dwie części, karczek zaś ukośnie i podwójnie. Zszyć boki fartuszka, przyszyć u dołu listwą ukośnie skrajaną na 5 c. szer. z ponsową wypustką, w pasie zaś z lewej strony listewkę,



Nr 24. Przycisk do robót z poduszeczką ozdobioną haftem. (Deseń pierw. str. tabl. Nr VIII, fig. 39).



Nr 26. Szlak do ozdoby rannego kaftanika (roboty szydełkowa).

przez którą przewlec tasiemki do ściągania. Zmarszczyć górny brzeg, wszyć w karczek z ponsową wypustką, rękawki zmarszczyć, obszyć wypustką, wszyć do fartuszka, wykrój szyi ozdobić hafcikiem.

### Fartuszek dla panienki od 6—8 lat.

Rycina Nr 17 w Bl. Nr 35. (Kroj pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 33—34).

Fartuszek z białej satynki w rzucik z białymi szlaczkami ponsowo haftowanymi oraz ponsowymi tasiemeczkami, skrajając według fig. 33 jedną część złożoną wzdłuż środka, według fig. 34 dwie części, zmarszczyć kilka razy fig. 33 między liniami, w górze na 10 c. w dole na 6 c., tylne części zmarszczyć w górze na 4 cent., w dole na 3 c. szer. Ubrać napierśnik hafcikiem i szlaczkami i złączyć hafcik na ramieniu. Skrajając z satynki fartuszek na 46 c. dług. a 130 c. szeroki. Obrabić szeroko u dołu (na obrąb dodać materiału), ubrać trzema szlaczkami, zmarszczyć w górze, wszyć w pasek na 3 c. szer., połączyć z napierśnikiem i przyszyć tasiemki do wiązania.

### Żabot z haftowanej jedwabnej gazy.

Rycina Nr 20 w Bl. Nr 35.

Skrajając pas z różowej gazy 270 c. dług. a 10 c. szer. z gładkiej strony zszyć takowy, zmarszczyć na 40 cent. długości i przymocować na podwójnie złożonym pasku z gazy. Szew oraz zmarszczenie przykryć riaszą z gazy podwójnie wziętej w drobne kontrafałdki ułożonej.

### Część szlaku na serwetę na okno (płaskim ścięciem).

Rycina Nr 21, 24, 25, 29 i 30 w Bl. Nr 35.

Serweta na 53 cent. szer. wykonana na szlaku z kanwy Jawa oliwkowego koloru, obszyta w dolnym brzegu wiązaną frendzlą i ozdobiona haftowanymi kwadratami, podług ryc. Nr 29 i 30, naprzemian, wykonanymi płaskim ścięciem, hamburską włóczką, szafirową, brązową i poziomkowego koloru, filozelą, jasno-niebieskiego i jasno-piaskowego koloru, oraz złotymi niemi. Kwadraty poprzedziła szlaczkami wykonanymi brązową włóczką w dwóch cieniach podług ryc. Nr 24. W kierunku długości haftu, wykonać rząd krzyżyków włóczką koloru ciemno-poziomkowego, poczem w odległości 3 c. od tychże przyszyć w górze szlak na 7 c. szer. z kanwy koloru jasno-poziomkowego, a u dołu jasno-niebieskiego, które należy ozdobić haftem podług ryc. Nr 25. Pomiędzy kwadratami i szlakiem przyszyć złoty galonik ażurowy. Frendzlę wykonać grubą włóczką, wiążąc ją dwa razy złotym sznurkiem, grełotki ze słupków różnokolorową włóczką wykonanymi przyszyć na frendzli podług ryciny.



Nr 27. Tylne części sukni Nr 2 w Bl. Nr 37. (Kroj odwr. str. tabl.).



Nr 25. Taboret ozdobiony haftem w stylu „rococo“.

### Pudełko na krawaty.

Rycina Nr 22 w Bl. Nr 35. (Deseń pierw. str. tabl. Nr VII, fig. 35).

Pudełko z grubej tektury na 31 cent. dług. 8 c. wysok. a 14 c. szerok., wewnątrz gładko atłasem oliwkowego koloru wybite, z dnem lekko watą pokrytem. Brzeg objęty pluszem wokoło, pokrywa objęta paskiem pluszowym, wybita skórą oliwkowego koloru, na której wykonany jest haft ciemnym jedwabiem i złotymi niemi, podług fig. 35 tablicy. Skórę należy lekko podwatować a dla łatwiejszego wykonania roboty, deseń powinien być dziurkami na skórze odznaczony. Zameczek i nóżki pudełka z brązu.

### Wachlarz.

Rycina Nr 23 w Bl. Nr 35. (Deseń odwr. str. tabl. Nr XIII, fig. 68).

W cienkiej metalowej oprawie z rączką z brązu osadzić wachlarz z różowego „crépe de Chine“ z haftem, podług fig. 68, kwiaty mają być biało-popielatym jedwabiem wykonane, kielich złotym, gałęzie oliwkowym, wszystko ścięciem płaskim, aby na prawą i lewą stronę robota jednakowo się przedstawiała. Przykleić z obydwóch stron wachlarza wokoło wazki szlaczek z pikotami z złotego jedwabiu i złotych nici.

## PRZEPISY GOSPODARSKIE.

### Łatwa polewa czekoladowa.

Pół funta czekolady połamać w kawałki, nalać półkwarterkiem dobrej śmietanki, postawić na blachę, aby się czekolada rozpuściła, wtedy wsypać 12 łyżek cukru mialkiego i dwa łyty lub pół łyżki młodego masła włożyć, rozmieszać wszystko na ciepłym trzonie, mieszając dobrze z 10 minut i póki ciepło. smarować: tort, mazurek lub ciastka kruche. L. C.

### Obiad na Niedzielę.

1. Zupa z czarnych jagód z grzankami.
2. Paszteciki w naleśnikach.
3. Kotlety baranie bite.
4. Kaczki młode z jabłkami.
5. Omlet z konfiturami.

### UWAGA.

Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów odnosząca się do wzorów w tym i w przyszłym numerze Bluszczu podać się mających.